br. stron: 5-8

Wpisano do kontrolki periodyków
I Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
dn. 6. VI 1948 r.

Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 6 czerwca 1948 r. Nr 23 (144)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Czym reformatorowie, pominąwszy inne błędy, łudzą się okropnie, to mniemaniem, że można pokonać zło nie wydając mu wojny. Rewolucjoniści i pacyfikatorowie razem... gadają, że świat się przewróci bez niczyjego trudu i sami nie myślą przyczynić się do tego w czymkolwiek.

Adam Mickiewicz

TREŚĆ NUMERU:

RICHARD WRIGHT — **SZKIC AUTOBIOGRAFICZNY**

VOLTAIRE — **POCHODZENIE ZAWODÓW**

GEORG LUKACS — **„STRACONE ZŁUDZENIA" BALZAKA**

ANATOL ESTRYN — **NA SZLAKACH PANARABIZMU**

ANATOL STERN — **KARDYNAŁ I MINISTER**

ZYGMUNT RADEK — **KAWIARNIA**

MELANIA KIERCZYŃSKA — **DYSKUSJA O POWIEŚCI ANDRZEJEWSKIEGO „POPIÓŁ I DIAMENT"**

MIECZYSŁAW SIEWIERSKI — **ZBRODNIE PRZECIW LUDZKOŚCI W RZĄDACH ALBERTA FORSTERA**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **PAMIĘTNIK „BARBARY" SOWIŃSKIEJ**

EDWARD SZUSTER — **PROPOZYCJE I PERSPEKTYWY**

JAN BRZECHWA — **KULTURA PRZEDEWSZYSTKIEM**

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

RICHARD WRIGHT

SZKIC AUTOBIOGRAFICZNY

Richard Wright, murzyński pisarz Stanów Zjednoczonych, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli młodej literatury amerykańskiej urodził się na plantacji w pobliżu miejscowości Natchez, Mississippi, w roku 1908. Ojciec jego był robotnikiem rolnym, a matka nauczycielką. Kiedy Richard miał pięć lat, ojciec porzucił matkę, która od tego czasu musiała utrzymywać dzieci. Mieszkali kolejno w Memphis i Helena, w stanie Arkansas. Richard nie miał jeszcze dziesięciu lat, kiedy matkę poraził paraliż. Odtąd różni dalsi krewni opiekowali się chłopcem, radzi pozbyć się go jaknajprędzej — był trudnym do prowadzenia dzieckiem. Kiedy zainteresował się książkami, wpadła mu w ręce „Księga Przedmów" (Book of Prefaces) H. L. Mackena. Postanowił zostać pisarzem. W okresie depresji gospodarczej Ameryki udało mu się uzyskać stypendium Federalnej Pomocy Pisarzom. Wśród pisarzy — stypendystów rozpisano konkurs. Wtedy właśnie w roku 1938 Richard Wright zdobył nagrodę Story Magazine w wysokości 500 dolarów za powieść „Dzieci Wuja Toma". W następnym roku uzyskuje stypendium Gugenheima. W osiem miesięcy później pisze „Syna Ameryki" (Native Son). Książka ta wybrana została przez Klub Najlepszej Książki Miesiąca do rozprowadzenia między członków i miała wysokie nakłady. Przerobiona została na scenę i wystawiona przez Orsona Wellesa. Za „Syna Ameryki" otrzymał Richard Wright medal Springarna, najwyższe odznaczenie za działalność na polu równouprawnienia murzynów. W roku 1945 napisał wspaniałą i wzruszającą historię swego dzieciństwa pt. „Czarny Chłopiec". Ostatnio przebywał w Europie, gdzie pracował nad nową książką.

Byłem jeszcze całkiem mały kiedy dostałem pierwszą lekcję życia. Mieszkaliśmy w Arkansas. Dom nasz stał za torem kolejowym. Ciemne podwórze wysypane było żużlem i żwirem, nie rosło na nim nigdy nic zielonego. Najbliższa zieleń, jak okiem sięgnąć rozpoczynała się dopiero po drugiej stronie toru, gdzie mieszkali biali. Nie tęskniłem jednak nigdy za zielonymi roślinami, wystarczał mi żwir zupełnie, bądźcobądź był niezgorszą bronią w walce. Zawsze mogłeś sprowokować ostrą bitwę przy pomocy większych żużelków. Wystarczyło przyczaić się za węgłem domu z garścią amunicji, celując w pierwszą lepszą czarną, wełnistą głowę, jaka wysmyrknie się zza murowanych filarów domu. Robiłeś co się dało, żeby ją z karku utrącić. To była fajna zabawa.

Nie zdawałem sobie sprawy z tragicznej niedoskonałości żwirowanego podwórka do czasu, kiedy nasza paczka wdała się w bitwę z białymi chłopakami zza toru. Leżeliśmy jak zwykle schowani za żwirowymi zaporami ogniowymi, wierząc święcie, że zmieciemy ich z placu boju. Tymczasem ci ze swej strony odpowiedzieli nam nieprzerwanym deszczem szkła z tłuczonych butelek. Podwoiliśmy nasz ogień kamyków, ale tamci pochowali się za drzewami, żywopłotami i zielonymi pochyłościami swoich trawników. Pozbawieni takich fortyfikacji cofnęliśmy się ku murowanym filarom naszych domów. W czasie odwrotu odłamek butelki od mleka uderzył mnie za uchem, raniąc głęboko i powodując znaczny upływ krwi. Widok mojej twarzy zalanej krwią całkiem zabił ducha w naszych szeregach. Moi kombatanci umknęli do domów, zostawiając mnie osłupiałego na środku podwórza. Dobra sąsiadka zajęła się mną, zabrała do doktora, który zeszył mi ranę trzema ściegami.

Usiadłem na schodach ganku i rozmyślałem, rozczulając się nad swoją raną, w oczekiwaniu na powrót matki. Czułem, że stała mi się wielka krzywda. Rzucanie żużlem było niewinną igraszką. Kawałek żwiru mógł w najgorszym razie zostawić siniaka. Potłuczone butelki stanowiły broń niebezpieczną: kaleczyły, powodowały upływ krwi, czyniły cię bezradnym.

Kiedy wieczór zapadł matka wróciła z kuchni białych. Wybiegłem jej naprzeciw. Czułem, że mnie zrozumie. Wiedziałem, że powie mi dokładnie co zrobić na drugi raz. Złapałem ją za rękę i jednym tchem opowiedziałem całe zdarzenie. Obejrzała ranę, a potem dała mi klapsa. — Czegoś się nie schował? — spytała. — Czego ty się wciąż bijesz? Byłem wściekły i rozwrzeszczałem się. Wśród łkań powiedziałem jej, że nie miałem przecież ani drzew ani żywopłotów, żebym się za nimi schował Nie było też żadnego rowu, żeby weń wleźć. A jak siedzisz schowany za filarem domu, to i tak żużli daleko nie dorzucisz. Złapała klepkę od beczki, zaciągnęła mnie do domu, obdarła z ubrania do naga i tłukła dopóki nie dostałem gorączki. Stłukła mi zadek klepką, a potem kładła łopatą do głowy pierwsze wiadomości o dyskryminacji murzynów, kiedy skóra mnie jeszcze piekła. Żebym już nigdy nie rzucał się żużlami. Żebym więcej nie bawił się w wojnę. I żebym nigdy, ale to nigdy, pod żadnym pozorem nie ważył się walczyć z białymi. A oni mieli rację, że mi kości porachowali potłuczoną butelką od mleka. Czy to ja nie wiem jak ona ciężko pracuje w dusznych kuchniach białych ludzi, żeby na mnie zarobić pieniądze? Kiedy już wreszcie się nauczę zachowywać jak grzeczny chłopak? Ona nie ma czasu, żeby zajmować się moimi bijatykami. Na koniec powiedziała, że powinienem do końca życia Bogu dziękować, że mnie wtedy nie zabili.

Całą noc majaczyłem i nie mogłem spać. Ilekroć przymknąłem oczy widziałem potworne, zawieszone u sufitu białe twarze z wlepionymi we mnie oczyma. Od tego czasu zniknął czar podwórza wysypanego żużlem. Zielone drzewa, strzyżone żywopłoty, koszone trawniki, nabrały znaczenia, urosły do rozmiaru symbolu. Do dziś jeszcze ilekroć myślę o białych ludziach odzywa się z dna pamięci ostro zarysowany obraz białych domów otoczonych drzewami, trawnikami i żywopłotami. Z biegiem lat stały się symbolem strachu.

Wiele czasu upłynęło, nim znów zetknąłem się z białymi. Przeprowadziliśmy się z Arkansas do Mississippi. Poszczęściło nam się z tym że nie mieszkaliśmy ani nad torem kolejowym, ani nawet w pobliżu dzielnicy białych. Mieszkaliśmy w samym sercu Czarnego Pasa. Były tam czarne kościoły z czarnymi kaznodziejami, czarne szkoły z czarnymi nauczycielami, czarni sklepikarze i czarni urzędnicy. Prawdę mówiąc wszystko było tak niezmącenie czarne, że nie myślałem wcale o białych — słowo „biały" stało się mglistym pojęciem. Nie mogło to jednak trwać wiecznie. Człowiek rośnie i potrzebuje coraz więcej jedzenia. Ubranie też staje się wtedy droższe. Kiedy skończyłem szkołę powszechną, musiałem iść do pracy. Matka zarabiała już zbyt mało swoją pracą kucharki na moje jedzenie i ubranie.

Dla czarnego chłopca, nieznającego żadnego zawodu jedno jest tylko miejsce, dokąd mógł się zwrócić, kiedy szuka pracy — a to między białe domy i białe twarze, tam gdzie drzewa, żywopłoty i trawniki są zielone. Pierwszą pracę dostałem w fabryce szkieł optycznych, w Jackson, Mississippi. Tego rana, kiedy zgłosiłem się po pracę, stałem wyprostowany, schludny, przed szefem, odpowiadając na wszystkie jego pytania krótkimi „tak proszę pana" i „nie proszę pana", przy czym „proszę pana" wymawiałem bardzo starannie, żeby wiedział, że jestem grzeczny i wiem gdzie jestem, i że wiem, że on jest białym człowiekiem. Bardzo zależało mi na tej robocie.

Przyglądał mi się, jakgdybym był nagrodzonym psem. Pytał mnie szczegółowo o wykształcenie, a zwłaszcza ile umiem z matematyki. Bardzo wydawał się rad słyszeć, że dwa lata uczyłem się algebry.

— Jakby ci się podobało, chłopcze, nauczyć się u nas czegoś? — spytał.

— Bardzo by mi się podobało, proszę pana, powiedziałem uradowany. Wyobraziłem sobie, że mogę się wybić. Nawet murzyni miewają takie wizje.

— No to dobrze — powiedział — chodź ze mną.

Poszedłem za nim do małej fabryczki. Zwrócił się do białego człowieka, mającego ze trzydzieści pięć lat.

— Pease, to jest Richard. Będzie u nas pracował.

Pease spojrzał na mnie i skinął głową.

Zaprowadzono mnie wtedy do siedemnastoletniego chłopca.

— Morrie, to jest Richard, który właśnie zaczyna u nas pracować.

— No i co powiesz, stary? — huknął na mnie Morrie.

— Dobra jest! — odpowiedziałem..

Szef polecił tym dwom, żeby mi pomagali, wydawali mi robotę i pozwalali uczyć się w wolnych chwilach.

Płaca była pięć dolarów na tydzień.

Pracowałem ciężko starając się im dogodzić. Przez pierwszy miesiąc wszystko szło jak z płatka. Wydawało się, że i Pease i Morrie mnie lubią. Brakło tylko jednego i stale o tym myślałem: nie nauczyłem się niczego i nikt nie kwapił się z pouczaniem mnie. Przypuszczając, że może zapomnieli o tym, że miałem się uczyć mechaniki szlifowania soczewek, poprosiłem któregoś dnia Morrie, żeby mi coś o tej pracy powiedział. Poczerwieniał

— Ty, czarny, chciałbyś być za mądry? — zapytał.

— Nie, nie chciałbym być za mądry, — odpowiedziałem.

— No to nie mądrzyj się, bo ci nie wyjdzie na zdrowie.

Byłem zaskoczony. Może po prostu nie chce mi pomóc? — pomyślałem i poszedłem do Peasea.

— Patrzcie no, czyś ty zwariował, czarny bękarcie? — szare oczy Peasea patrzały na mnie twardo.

Tłumaczyłem się tym, że przecież szef powiedział, że mam mieć okazję nauczenia się czegoś.

— Hej, negr, czy ci się zdaje żeś biały?

— Nie, proszę pana!

— No to dobrze, bo jeszczeby kto tak pomyślał!

— Ale, proszę pana, szef powiedział...

Pease wyrżnął mnie pięścią w twarz.

— Tu jest praca tylko dla białych ludzi, i ty lepiej uważaj na siebie. Od tego czasu zmienili się dla mnie. Już nie mówili mi dzieńdobry. Jeśli niedość się śpieszyłem choć przez chwilę, wyzywali mnie od leniwych, czarnych skurwysynów.

Miałem już zamiar powiedzieć o tym kiedyś szefowi. Powstrzymała mnie przed tym myśl o zemście Peasea i Morrie, gdyby dowiedzieli się, że poleciałem na nich z ozorem. Szef przecież też jest biały. Co mi z tego przyjdzie?

Kryzys przyszedł pewnego letniego dnia. Pease zawołał mnie do swego warsztatu. Żeby tam się dostać, musiałem stanąć między dwoma warsztatami w wąskim przejściu, mając ścianę za plecami.

— Słucham, proszę pana — powiedziałem.

— Chcę się ciebie o coś zapytać, Richard, — powiedział przymilnie Pease nie podnosząc oczu znad roboty.

— Słucham, proszę pana, — powtórzyłem.

Morrie podszedł do nas i zatarasował sobą wąskie przejście między warsztatami Skrzyżował na piersiach ręce i przypatrywał się uważnie. Patrzyłem to na jednego, to na drugiego i wiedziałem, że coś się zbliża.

— Słucham, proszę pana, — powtórzyłem po raz trzeci.

Pease podniósł na mnie oczy i powiedział bardzo wolno:

— Słuchaj, Richard, pan Morrie mówi mi właśnie, żeś powiedział o mnie Pease.

Zmartwiałem. Czułem w sobie pustkę. Wiedziałem, że to było specjalnie zrobione.

Dał mi do zrozumienia, że nie powiedziałem o nim pan Pease. Popatrzyłem na Morrie, który właśnie wziął w rękę sztabę żelazną. Otworzyłem usta, żeby zaprotesować, żeby zapewnić Peasea, że nigdy nie mówiłem o nim po prostu Pease i że nie miałem zamiaru nigdy tego zrobić, kiedy Morrie złapał mnie za kołnierz i rąbnął moją głową o ścianę.

— Uważaj, ty negrze, — warknął Morrie, obnażając zęby — ja słyszałem, jakeś o nim mówił Pease. Jeżeli nie przyznasz się, żeś tak powiedział to znaczy, że ja kłamię, rozumiesz? — groził wymachując żelazną sztabą. Gdybym powiedział: Nie, proszę pana, panie Pease, nigdy nie mówiłem o panu Pease, tym samym stwierdziłbym, że Morrie kłamie. A gdybym powiedział: tak, powiedziałem o panu Pease, przyznałbym się do najgorszego przestępstwa, jakie murzyn popełnić może wobec białego z Południa. Wahałem się, usiłując sklecić neutralną odpowiedź.

— Richard, pytałem cię o coś! — wściekłość przebijała w jego głosie.

— Nie przypominam sobie, żebym powiedział o panu Pease, panie Pease powiedziałem przezornie — a gdybym przypadkiem to zrobił to, naprawdę — nie myślałem...

— Ty czarny skurwysynu! Więc jednak powiedziałeś o mnie Pease!

Pluł i walił mnie dopóki nie opadłem na warsztat. Morrie dusił mnie żądając odpowiedzi:

— Nie mówiłeś na niego P e a s e? Jak powiesz, że nie, to ci tą sztangą bebechy wypruję, ty czarny sukinsynu! Żywy stąd nie pójdziesz, jakieś śmiał powiedzieć, że biały człowiek kłamie, ty czarny łotrze! Osłabłem. Błagałem, żeby zostawili mnie w spokoju. Zrozumiałem czego chcieli. Chcieli, żebym odszedł.

— Pójdę sobie, — obiecywałem — odejdę natychmiast.

Dali mi minutę czasu na zabranie się im z oczu. I żebym się nigdy nie ośmielił pokazać w fabryce, albo iść do szefa.

Poszedłem.

Kiedy opowiadałem w domu co się stało, zwymyślali mnie, że jestem głupi. Gdy pracujesz dla białych — powiedzieli — musisz „znać swoje miejsce", nie wolno przekraczać pewnych granic, jeśli ci zależy na pracy.

II

Druga lekcja antymurzyńskiej edukacji miała miejsce na mojej drugiej posadzie, gdzie w sklepie odzieżowym odnosiłem klientom paczki.

Pewnego ranka czyściłem właśnie mosiężne okucia przed sklepem, kiedy zajechało auto mego szefa z którego wysiadł on i jego dwudziestoletni syn, ciągnąc z sobą jakąś murzynkę. Kopiąc i szturchając, zaciągnęli ją do sklepu. Policjant stojący na rogu ulicy przyglądał się scenie, obracając w rękach pałkę. Nie zwalniając tempa pracy, patrzyłem na to co się dzieje spod nawpół spuszczonych powiek. Po kilku minutach usłyszałem z głębi sklepu przejmujące krzyki. Potem ukazała się kobieta cała zakrwawiona. Zataczając się wyszła na ulicę. Trzymała się za brzuch i płakała. Kiedy doszła do rogu, policjant zaczepił ją i powiedział, że jest pijana, poczem wpakował ją do wozu policyjnego. Kiedy wszedłem do pokoju za sklepem, szef i jego syn myli ręce nad zlewem. Śmieli się. Podłoga była zawalana krwią i tu i owdzie poniewierały się strzępy ubrania i kępki włosów. Musiałem mieć bardzo osłupiały wygląd, bo szef poklepał mnie uspakająco po plecach.

— Widzisz chłopcze, tak się robi z negrami, kiedy nie płacą długów — powiedział ze śmiechem. Syn jego uśmiechał się do mnie.

— No, masz papierosa, — zaofiarował.

Wziąłem, nie wiedząc co robić. Zapalił swego najpierw, a potem podał mi płonącą zapałkę. Był to gest pełen uprzejmości, mający zaznaczyć, że jakkolwiek zbili biedną, starą murzynkę, to jednak mnie bić nie będą, jeśli tylko potrafię utrzymać język za zębami.

— Tak, proszę pana, — powiedziałem i nie pytałem więcej. Kiedy wyszli, usiadłem na krawędzi skrzynki i nie odrywałem oczu od zakrwawionej podłogi dopóki niedopałek papierosa nie sparzył mi ust.

W czasie południowego posiłku opowiedziałem kolegom, murzyńskim tragarzom takim, jak ja, co się stało. Żaden z nich nie zdziwił się. Jeden tylko przełknął to, co miał w ustach i zapytał:

— I to wszystko?

— Jeszcze ci nie dość? — zdziwiłem się.

— Cholera! miała suka szczęście — powiedział wbijając zęby w soczystą parówkę — mogli ją jeszcze zgwałcić, jak się już z nią porachowali.

III

Uczyłem się szybko, ale nie dostatecznie szybko. Kiedyś, gdy jechałem doręczyć paczkę za miasto, nawaliła mi kicha w rowerze. Szedłem więc gorącą, zakurzoną drogą cały spocony, prowadząc rower.

Zatrzymał się przy mnie samochód.

— Ej, chłopak, co się stało? — zapytał biały człowiek.

Powiedziałem, że mi się rower zepsuł i wracam pieszo do miasta.

— O, to źle. — Powiedział. — Wskocz na błotnik.

Zatrzymał samochód. Schwyciłem mocno rower jedną ręką, a drugą przycisnąłem się do boku auta.

— Gotów?

— Tak, proszę pana.

Auto ruszyło. Było w nim pełno młodych ludzi. Pili. Patrzyłem, jak butelka przechodziła z ust do ust.

— Chcesz łyknąć? — któryś zapytał.

Uśmiechnąłem się, a wiatr ciął mnie po twarzy. Pamiętając instynktownie niedawne matczyne nauki, odrzekłem:

— O nie!

Nie zdążyłem domówić, kiedy coś twardego i zimnego uderzyło mnie między oczy. Była to pusta butelka od whisky. Gwiazdy stanęły mi przed oczyma. Z nogami zaplątanymi w szprychy roweru, z pędzącego samochodu upadłem wtył, w kurz drogi. Biali mężczyni wyleźli z auta i stanęli nade mną.—

— Ty, negr, czy nie masz rozumu, żeby mówić „nie, proszę pana" do białego człowieka? Nie zdążyłeś się jeszcze nauczyć? — zapytał ten, który rzucił we mnie butelką.

Oszołomiony wstałem na równe nogi. Krwawiły mi kolana i łokcie. Podeszli z zaciśniętymi pięściami i kopnięciem odrzucili mój rower ze środka drogi.

— Zostaw bękarta w spokoju, dostał za swoje — powiedział jeden.

Stali gapiąc się na mnie. Pocierałem swoje golenie, usiłując zatamować cieknącą krew. Widać musieli poczuć litość, prócz pogardy do mnie — bo jeden zaproponował:

— Chciałeś, zdaje się, żeby cię podwieźć, co? Swoją nauczkę dostałeś i masz dosyć, no nie?

— Wolę piechotą — odpowiedziałem po prostu.

Może było to zabawne, bo się roześmiali.

— A idź sobie, czarny skurwysynu!

Kiedy odchodził, pocieszali mnie jeszcze:

— Powinieneś Bogu dziękować, negrze, żeś na nas natrafił. Masz bękarcie szczęście. Jakby tak na innych popadło, zostałby już z ciebie tylko czarny trup.

IV

Tylko murzyni z południa wiedzą jak strach oblatuje człowieka, kiedy ich wieczór zaskoczy w dzielnicy białych ludzi. Fakt ten doskonale odzwierciedla położenie murzyna w Ameryce. Biali ludzie mogą późno wracać do domów i nikt ich nie zaczepi, ale skóra murzyna wyróżnia go z tłumu, czyni go podejrzanym, przeobraża go w bezbronną ofiarę.

Pewnej soboty, późnym wieczorem miałem dostarczyć jakieś paczki w dzielnicy białych. Pedałowałem spowrotem do sklepu jak tylko szybko mogłem, kiedy auto policyjne, sunąc ku mnie, przyparło mnie do krawężnika.

— Złaź z roweru i ręce do góry — zakomenderował policjant.

Tak też zrobiłem. Wyleźli z auta, z bronią w ręku, poważni, zbliżali się powoli.

— Nie ruszać się! — rozkazali.

Podniosłem ręce jeszcze wyżej. Przeszukali kieszenie moje i paczki. Wydawali się niezadowoleni z ujemnego wyniku rewizji. Wkońcu jeden z nich powiedział:

— Powiedz chłopcze swemu szefowi, żeby nie wysyłał cię w te okolice po zachodzie słońca.

Odpowiedziałem, jak zwykle:

— Tak, proszę pana.

V

Następną posadę miałem w hotelu. Tu rozszerzyła się moja wiedza z zakresu antymurzynizmu. Kiedy boye byli zajęci, zamiast do noszenia walizek używali mnie do pomocy, na posyłki. Większość pokoi w tym hotelu zajmowały prostytutki, które raz po raz posyłały po trunki i papierosy. Kobiety te przeważnie chodziły nago. Dla boya hotelowego nie warto im się było ubierać. Kiedyś wchodził do ich pokoju, oczekiwano po tobie, że nagość cię nie zdziwi, że nie jest niczym bardziej niezwykłym niż błękitny wazon, czy czerwony dywan. Obecność twoja nie wzbudzała w nich uczucia wstydu, bo nie uważały cię za człowieka. Kiedy bywały same, mogłeś raz i drugi na nie zerknąć. Jeśli jednak przyjmowały mężczyzn, nie wolno ci było nawet mrugnąć okiem. Pamiętam żywo pewien wypadek. Nowa lokatorka wprowadziła się na moje piętro. Była wielka i miała śnieżno-białą skórę i blond włosy. Posłano mnie na jej usługi. Leżała w łóżku z jakimś wielkim chłopem, oboje nadzy, odkryci. Zażądała jakiegoś napoju alkoholowego. Zsunęła się z łóżka i poszła, kołysząc biodrami, poprzez pokój ku szufladzie komody, po pieniądze. Obserwowałem ją.

— Na co wywalasz gały, do licha, czarny? — powiedział biały mężczyzna, unosząc się na łokciach.

— Na nic — odpowiedziałem, nie odrywając oczu od pustej ściany.

— Trzymaj oczy przy sobie, jak chcesz być cały!

— Tak, proszę pana.

VI

Boy hotelowy, którego znałem, chodził stale z pewną murzynką. Ni z tego ni z owego przyszła policja i zabrała go pod zarzutem, że uwiódł dziewczynę. Chłopak przysiągł, że nie utrzymywał z dziewczyną bliższych stosunków. Zmusili go jednak do małżeństwa z nią. Dziecko, które przyszło na świat okazało się jednak znacznie jaśniejsze, niż którekolwiek z legalnych rodziców. Biali ludzie z hotelu urządzali sobie kpinki na ten temat. Rozpowiadali, że widać przelękła się białej krowy, kiedy była brzemienna. Kiedyś był przy tym, musiałeś śmiać się z tego tłumaczenia.

VII

Nakryli boya w łóżku z białą prostytutką. Wykastrowali go i wygnali z miasta. Po tym wypadku zwołano wszystkich boyów hotelowych i ostrzeżono, że czeka ich to samo. Powiedziano, że ów skastrowany miał i tak „piekielnie dużo szczęścia". Dano nam do zrozumienia, że za następnym razem dyrekcja hotelu nie bierze odpowiedzialności za życie „kłopotliwego negra". Milczeliśmy.

VIII

Pewnego wieczoru, kiedy szedłem do domu, spotkałem murzynkę, pokojówkę hotelową. Mieszkała w mojej stronie, poszliśmy więc razem. Kiedy mijaliśmy nocnego dozorcę, białego człowieka, ten uderzył ją w tyłek. Odwróciłem się zdumiony. Dozorca popatrzył na mnie przeciągle spode łba. Nagle podniósł broń i zapytał:

— Nie podoba ci się, co czarny?

Zawahałem się.

— Pytam się, czy ci się co nie podoba? — spytał ponownie idąc ku mnie.

— Nie, proszę pana — wymamrotałem.

— Trzeba tak było mówić od razu!

VOLTAIRE

Przełożył Adolf Sowiński

POCHODZENIE ZAWODÓW

Gdy Prometeusz stworzył swoje podobieństwo
z alabastru, któremu kształt jego dłoń dała,
pojął — jak wiemy — własne swe dzieło w małżeństwo
i matką wszystkich ludzi Pandora została.

Odkąd mogła się ujrzeć, rozeznać w swej roli,
tak czarownych uśmiechów próbowała siły,
tak słodkich słów, tak wszystkie odruchy kusiły,
że jej twórcę miłosny kłam wziął do niewoli
i Prometej zatroskan o poklask u żony,
że pierwszy mąż, najpierwszy też został zdradzony.

Mars nawiedził tę nową piękność swym faworem:
bóg w ozdobie wojennej i męskiej postawy.
Hełm ze złota i wielka tarcza tak łaskawy
znalazły względ, że został Mars tryumfatorem.

Bóg mórz, któremu wilgoć po dworze się ściele,
widząc jako los łatwo sprzyja zamiarowi,
odnalazł piękną, mówił o miłości wiele:
kochawszy Marsa, można ulec Neptunowi.

Feb jasnowłosy ujrzał z świetlistego dworu
te rozkosze i równe zawrzały w nim chęci.
Gdy bóg wierszami, światłem i pięknem sztuk nęci,
nie można najmniejszego stawić mu oporu.
Merkury użył słynnej wymowy poloru:
przyjęto go jak tamci zostali przyjęci.

Wulkan, kiedy wystąpił z kuźnicy płonącej,
nie podobał się zrazu i był odprawiony,
ale przez natarczywość i on zebrał plony
w boju, co był dla innych bogów mniej gorący.

Piękne lata minęły w tym trybie Pandorze,
już nudziła, lecz o tym nie miała pojęcia,
bo gdy kobieta kocha w swojej wiosny porze,
już nigdy się innego nie chwyci zajęcia.
Tylko u bogów miłość długo trwać nie może:
ta im było przychylną, ci ją opuścili.
Zoczywszy więc grubego satyra na dworze
okazała mu względy, by nie tracić chwili.

Wszyscyśmy z takich właśnie igraszek powstali
i taki jest początek ludzkiego rodzaju,
dlategośmy tak bardzo się zróżniczkowali
w talentach, namiętnościach, rozumie, zwyczaju.
Ten czci ojca Wulkana, tamten Marsa chwali,
inny satyra, ale za świecą się liczy
tych, co życie od boga światła otrzymali.
Gusty każdy z nas szczęśliw po ojcach dziedziczy,
ale jedynie zawód uroczej Pandory,
choć nierządki, najwyższej równa się słodyczy
i jemu cały Paryż oddaje honory.

Przełożył **Adolf Sowiński.**

Ilustrowała Jadwiga Umińska

— Tak, proszę pana — zapewniłem z wielką gorliwością.

Wychodząc, wyprzedziłem dziewczynę. Wstydziłem się spojrzeć jej w oczy. Dogoniła mnie i uspokoiła słowami:

— Nic na to nie poradzisz. Nie bądź głupi.

Ten sam stróż chwalił się tym, że zabił dwóch murzynów w samoobronie. Mimo wszystko jednak życie w hotelu płynęło zadziwiająco gładko. Obserwator zzewnątrz nie dostrzegłby, że coś jest nie w porządku. Pokojówki, tragarze, boye nawet rozpływali się w uśmiechu. Musieli.

IX

Tak duże postępy poczyniłem w nauce dyskryminacji, że utrzymałem się na posadzie w hotelu aż do czasu, kiedy wyjechałem z Jackson do Memphis. Tak się złożyło, że w Memphis szukałem pracy w fabryce szkieł optycznych. Przyjęto mnie. Z niewiadomych dla mnie przyczyn, nie wygrzebano niczego z mojej przeszłości, by użyć przeciwko mnie, przez okres, kiedy tam pracowałem.

Tutaj moja edukacja przybrała całkiem inne formy. Nie miałem już do czynienia z gruboskórnym dokuczaniem. Tu zetknąłem się z wyrafinowanym okrucieństwem. Tu nauczyłem się kłamać, kraść, symulować. Nauczyłem się owej podwójnej roli, jaką musi grać każdy murzyn, jeśli chce jeść i żyć. Na przykład niepodobieństwem było zdobycie książki do czytania. Zakładano, że murzyn, po uzyskaniu od państwa edukacji — choćby niewiedzieć jak niedostatecznej — nie potrzebuje książek w reszcie swego żywota. Pożyczałem zawsze książki od współpracowników. Któregoś dnia zebrałem całą odwagę i poprosiłem jednego z nich, czy by nie pozwolił mi brać książek z biblioteki na swoje nazwisko. Ku memu zdziwieniu, zgodził się. Podejrzewam, że postąpił tak dlatego, bo był katolikiem, a więc tak samo jak ja, obiektem nienawiści, i było mu mnie żal. Uzbrojony w kartę biblioteczną, zdobywałem książki w taki sposób: szedłem do bibliotekarki z listem: „Proszę o wydanie negrowi następujących książek". List podpisywałem nazwiskiem białego. Kiedy szedłem do biliboteki, stawałem przed biurkiem z czapką w ręku, starając się wyglądać na analfabetę. Otrzymawszy żądane książki, szedłem do domu. Jeśli nie było żadnej z książek wymienionych na liście, wymykałem się do przedpokoju, żeby sfałszować nowy list. Nie starałem się nigdy odpowiedzieć bibliotekarce na pytanie, jaką książkę chciałby ów biały przeczytać. Gdyby któryś z białych czytelników dowiedział się, że tomy, które z upodobaniem czytali były poprzednio w domu murzyna, nie tolerowaliby tego na pewno.

Załoga naszej fabryki optycznej była znacznie liczniejsza niż w Memphis i miała więcej ogłady. W każdym razie lubili rozmawiać i zagadywali do pomocników-murzynów, ilekroć tylko nadarzyła się okazja. Tym sposobem dowiedziałem się, że istnieją tematy stanowiące dla murzyna rodzaj tabu, z punktu widzenia białego człowieka. Należały do nich między innym: białe Amerykanki, Ku-Klux-Klan, Francja i jak we Francji powodziło się murzyńskim żołnierzom, francuskie kobiety, północna część Stanów Zjednoczonych, wojna domowa, Abraham Lincoln, Generał Grant, Generał Sherman, katolicy, papież, żydzi, partia republikańska, niewolnictwo, równouprawnienie społeczne, komunizm, 13 i 14 artykuły konstytucji, i te wszystkie tematy, w których murzyn okazałby zbyt wiele pewności siebie lub gdzie mówiono by o nim za dobrze. Najchętniej poruszane tematy pochodziły z dziedziny płci i religii. Wielokrotnie musiałem dobrze poruszyć konceptem, żeby uniknąć kłopotów. Na przykład należy zdejmować nakrycie głowy przy wejściu do windy. Na Południu szczególnie ostro przestrzega się tego wobec nas, murzynów. Któregoś dnia wszedłem do windy, mając obie ręce zajęte pakunkami. Musiałem stać w czapce. Dwaj biali mężczyźni przyglądali mi się zimno i nagle jeden z nich zdjął mi ostrożnie czapkę z głowy i położył ją na szczycie pakunków. Przyjętą formą zachowania się murzyna w takiej sytuacji jest spojrzenie na białego z ukosa i uśmiech. Powiedzeniem „dziękuję" stwierdzałoby się, że biały człowiek wyświadczył ci osobistą przysługę. Widziałem jak murzyni dostawali za to w zęby. Pierwsza metoda napawała mnie niesmakiem, druga była niebezpieczna, wpadłem na trzecią możliwość. Kiedy poczułem, że czapka unosi się do góry, udawałem, że paczki lecą mi na ziemię i w wielkim zamęcie udawałem, że paczki lecą mi na ziemię i w wielkim zamęcie udawałem, że powstrzymuję je od upadku. Tym sposobem unikałem przyznania, że wyświadczono mi przysługę i mimo nieprzychylnych okoliczności, oszczędzałem sobie upokorzenia.

Co myślą murzyni o swojej sytuacji? Co na ten temat mówią między sobą? Na to pytanie odpowiem jednym zdaniem. Mój przyjaciel, windziarz, powiedział mi kiedyś:

— Mój Boże, gdyby nie policja i tłum zawsze skory do lynchu, to by tu dopiero była rewolucja!

tłumaczyła **Teresa Czarkowska**

GEORG LUKACS

przełożył Ryszard Matuszewski

O „STRACONYCH ZŁUDZENIACH" BALZACA

UTWÓR TEN, który Balzac ukończył w okresie swej najwyższej pisarskiej dojrzałości (r. 1843), tworzy nowy typ powieści o rozstrzygającym znaczeniu *dla całego rozwoju literatury w wieku* XIX-ym: powieść o wielkim rozczarowaniu, o nieuniknionym rozbiciu fałszywych, choć w nieunikniony sposób narastających wyobrażeń człowieka o życiu, powieść o brutalnej *sile tego życia w ustroju kapitalistycznym.*

Jeśli chodzi o sam motyw rozwianych złudzeń, Balzac nie jest oczywiście w nowoczesnej literaturze pierwszy. Pierwszy wielki utwór powieściowy — Don Kichot, — jest przecież także historią „straconych złudzeń". Ale u Cervantesa rodzące się społeczeństwo mieszczańskie rozbija istniejące jeszcze złudzenia feodalne, podczas gdy u Balzaca zwykłymi złudzeniami okazują się w zestawieniu z rzeczywistością kapitalistycznej gospodarki powstałe jako wynik rozwoju samego mieszczańskiego społeczeństwa wyobrażenia o człowieku, społeczeństwie, sztuce itp. najwyższe ideologiczne wytwory rozwoju samego mieszczaństwa. Powieść osiemnastego wieku rozbija także pewne *złudzenia.* Rozbicie to dotyczy jednak częściowo *istniejących jeszcze feodalnych pozostałości w myśleniu i odczuwaniu,* częściowo zaś nieugruntowanych, *niżej w rozwoju stojących i niedostatecznie wrośniętych w rzeczywistość wyobrażeń,* przezwyciężanych z tego samego stanowiska, przez szersze, bardziej rzeczywistością nasycone pojęcia o tej samej rzeczywistości. Tragicznie szyderczy uśmiech wobec najwyższych rozwojowych osiągnięć własnej, mieszczańskiej ideologii, tragiczna samolikwidacja mieszczańskiego ideału pod naporem własnego ekonomicznego podłoża, naporem kapitalizmu, — zostały w powieści Balzaca oddane poraz pierwszy w swojej pełni. Tylko Diderot ze swym nieśmiertelnym arcydziełem „Kuzynek" mistrza Rameau" może uchodzić za ideologicznego poprzednika tej powieści.

Balzac nie jest bynajmniej jedynym pisarzem, który w tym czasie podchodzi do owego tematu. Wyprzedzały go „Czerwone i czarne" Stendhala oraz mussetowska „Spowiedź dziecięcia wieku". Temat wisiał w powietrzu. Nie ze względu na jakąś literacką modę, ale jako skutek rozwoju Francji, kraju, w którym wzorowo przebiegał proces politycznego wzrostu mieszczaństwa. Wielki heroiczny okres francuskiej Rewolucji Napoleona wyzwolił, ożywił i zmobilizował wszystkie zasoby energii drzemiące w klasie mieszczańskiej. Heroiczny okres dał najlepszej części tej klasy możliwość wprowadzenia heroicznych ideałów w czyn, życia według nich i umierania za nie. Wraz z upadkiem Napoleona, okresem Restauracji i Rewolucją Lipcową kończy się okres heroiczny, ideały stają się zbędną ozdobą i dekoracją prawidłowego życia: otwarta przez Wielką Rewolucję i Napoleona droga rozwoju kapitalizmu rozszerza się w wygodny i dla wszystkich dostępny gościniec. Bohaterscy pionierzy muszą odejść i opróżnić miejsce dla ludzi mniej wartościowych, dla ciągnących zyski z ekonomicznego rozwoju spekulantów. „Społeczeństwo mieszczańskie w swej nagiej rzeczywistości stworzyło sobie właściwych wyrazicieli w postaci Sayów, Cousinów, Royer-Collardów, Benjamin Constantów i Guizotów, jego prawdziwi przywódcy zasiadali w kantorze, a głową jego polityki była nalana sadłem głowa Ludwika XVIII-go" (Marks). Pęd ku ideałom, nieunikniony wytwór należącego już nieodwołalnie do przeszłości okresu heroicznego stał się społecznie zbędny, jego przedstawiciele, pokolenie wyrosłe w tradycjach tego okresu, musiało ulec koniecznemu procesowi zdeklasowania się.

Historia nieuniknionego bankructwa, pęknięcie bani z wyzwoloną przez Rewolucję i okres napoleoński energią jest wspólnym tematem wszystkich powieści o Wielkim Rozczarowaniu owego okresu, ich wspólnym oskarżeniem przeciwko prozaicznej miernocie czasów Restauracji i Monarchii Lipcowej. Balzac, chociaż politycznie rojalista i legitymista, dostrzega ów charakter okresu Restauracji z przeraźliwą jasnością. W omawianej przez nas powieści mówi on: „Nic tak bardzo nie oskarża niewolnictwa, na jakie Restauracja skazała młodzież. Młodzi ludzie, którzy nie wiedzieli, jak zużytkować swoją energię, oddawali ją nie tylko dziennikarstwu, politycznym spiskom, literaturze i sztuce, marnotrawili ją także w najosobliwszych wybrykach... *Jeśli pracowali, pożądali władzy i użycia, jako artyści pożądali bogactwa, jako próżniacy namiętnych wzruszeń — tak, czy inaczej pragnęli dla siebie miejsca, a polityka odmawiała go im.*" Świadomość i odtworzenie tej sytuacji, tej tragedii całego pokolenia, wspólne jest dla Balzaca oraz jego większych i mniejszych współczesnych.

Mimo tej wspólnoty „Stracone złudzenia" zajmują na tle całej ówczesnej polityki literackiej we Francji pozycję historyczną wyjątkową i jedyną. Balzac, nie poprzestając na świadomości i odtwarzaniu naszkicowanej tu tragicznej względnie tragikomicznej sytuacji społecznej widzi i sięga głębiej. Widzi, że koniec heroicznego okresu mieszczańskiego rozwoju Francji oznacza jednocześnie początek wielkiego rozkwitu francuskiego kapitalizmu. W prawie wszystkich swoich powieściach Balzac maluje ten rozkwit kapitalizmu, przemianę rzemiosła w kapitalizm nowoczesny, rozrost miasta i kraju dzięki gwałtownie rosnącemu kapitałowi finansowemu, ustępowanie wszystkich tradycyjnych form społecznych i wszystkich ideologii przed zwycięskim pochodem kapitalizmu. „Stracone złudzenia" są w całym tym przebiegu tragikomiczną epopeą o procesie **kapitalizacji wartości duchowych**. Tematem tej powieści jest stawanie się literatury (a wraz z nią wszelkiej ideologii) towarem, a wszechstronne ukazanie tego procesu kapitalizacji ducha spaja tu powszechna tragedię ponapoleońskiej generacji w głębiej pojętą społeczną całość, niż ta, którą stworzyli najwięksi współcześni Balzaca, jak Stendhal.

Ten proces stawania się literatury towarem odtwarza Balzac w jego najpełniej rozwiniętym całokształcie; począwszy od produkcji papieru, a kończąc na przekonaniach, na myślach i uczuciach pisarza — towarem jest wszystko. I Balzac nie poprzestaje na ogólnym stwierdzeniu ideologicznych konsekwencyj tego władztwa kapitalizmu, lecz ukazuje we wszystkich dziedzinach (dziennik, teatr, wydawnictwo) konkretny proces kapitalizacji we wszystkich jego etapach i nieomal przeznaczeniach. „Czym jest sława?" — pyta wydawca Dauriat. „Artykułów za dwanaście tysięcy franków i obiadów za trzy tysiące.." i w sposób następujący rozwija swoje zasady: „Ja się nie bawię w wydawanie książki, w ryzyko dwóch tysięcy, aby zarobić drugie dwa: ja robię w literaturze na wielką skalę: wydaję czterdzieści tomów pod dziesięć tysięcy egzemplarzy... Siłą moich stosunków, artykułów, pcham interes na trzysta tysięcy franków, zamiast pozyskać jeden tomik za dwa tysiące... Rękopis, za który płacę sto tysięcy, jest tańszy, niż ten, za który nieznanemu autorowi daję sześćset franków". Podobnie jak wydawcy, myślą i pisarze. — „Czy wierzą rzeczywiście w to, co piszą — pytał Vernou szyderczo — ależ my wszyscy jesteśmy handlarzami słów i mówimy o naszym handlu... Artykuły dzisiaj czytane jutro zapomniane, nie mają w moich oczach żadnej innej wartości, niż cena jaką za nie zapłacono".

Dziennikarze i pisarze należą przy tym do wyzyskiwanych: ich zdolności są tylko towarem, obiektem spekulacji kapitału „robiącego w literaturze". Są oni przez kapitalizm wyzyskiwani w sposób, który ich prostytuuje: chcą sami wyzyskiwać albo przynajmniej korzystać z wyzysku. Przed przystąpieniem Lucjana de Rubempré do zawodu dziennikarskiego, kolega jego i mentor, Lousteau, daje mu instrukcje: „w literaturze, mój drogi, sekret powodzenia jest nie w tym, aby pracować, chodzi o to, aby wyzyskiwać pracę cudzą. Właściciele dzienników, to przedsiębiorcy, my — murarze. Toteż, im człowiek bardziej mierny, tym szybciej dochodzi do celu, taki wszystko strawi, pogodzi się ze wszystkim, potrafi schlebiać podłościom sułtanów literackich... Sumienie twoje, które dziś czyni Cię hardym, jutro ugnie się przed tymi, w których rękach ujrzysz swoje powodzenie i którzy, jednym słowem mogąc ci dać życie, nie zechcą wymówić tego słowa: bo wierzaj mi, pisarz modny jest pyszniejszy, i twardszy dla nowych przybyszów niż najchciwszy wydawca. Tam, gdzie wydawca widzi tylko stratę, autor obawia się rywala, jeden po prostu ci odmawia, drugi cię niszczy".

Ta rozległa tematycznie treść, owa kapitalizacja literatury od produkcji papieru aż do lirycznych wzruszeń określa, jak zawsze u Balzaca, artystyczną formę kompozycji. Przyjaźń Davida Sèchard i Lucjana de Rubempré rozwiane złudzenia wspólnej, marzycielskiej młodości i wzajemne ścieranie się przeciwieństw obu charakterów wyznaczają najogólniejsze kontury akcji. W tym podstawowym schemacie kompozycji znajduje wyraz geniusz Balzaca. Z jednej strony odtwarza on postaci, w których wewnętrzne napięcie tematu dochodzi do głosu jako ludzka namiętność, indywidualny wysiłek zarówno Dawida Sèchard wynalazcy nowego, taniego sposobu fabrykacji papieru, oszukanego przez kapitalistów, jak Lucjana, który na rynek paryskiego kapitalizmu przynosi swą czystą i subtelną lirykę. Z drugiej strony w przeciwstawieniu sobie obu charakterów znajduje swój plastyczny i ludzki wyraz najszerszy wachlarz możliwości różnych reakcji na całą ohydę procesu kapitalizacji. Dawid Sèchard jest purytańskim stoikiem, podczas gdy u Lucjana przesadnie zmysłowa żądza użycia znajduje pełne wcielenie w wolnym od wszelkich hamulców, wyrafinowanym epikureiźmie porewolucyjnego pokolenia.

Balzakowski sposób kompozycji nie jest pedantyczny, nie ma w sobie suchej „naukowości" jego późniejszych następców. Rozwój problemów materialnych odbywa się u niego w nierozdzielnej organicznej łączności z indywidualnymi następstwami uczuć i namiętności jego bohaterów. A pomimo to, poza tą kompozycją, która tylko pozornie wynika ze spraw indywidualnych, kryje się zawsze głęboka znajomość związków społecznych, bardziej prawidłowa obserwacja tendencji społecznego rozwoju niż u odznaczających się pedantyczną „naukowością" późniejszych realistów. Kompozycja ta polega na tym, że los Lucjana a wraz z nim merkantylizm literatury stanowi ośrodek akcji, podczas gdy kapitalizacja materialnej bazy literatury, kapitalistyczna eksploatacja technicznego postępu stanowi tylko epizodyczny akord końcowy. Ten sposób kompozycji, który odwraca logiczny i rzeczowy związek między materialną bazą i nadbudową, cechuje jednak nie tylko artystycznie, ale i socjologicznie najwyższa mądrość. Artystycznie, gdyż różnorodność zmiennych losów walki Lucjana o sławę dostarcza zupełnie innych możliwości dla rozwinięcia barwnej i ruchliwej pełni wydarzeń, niż małostkowa i oszukańcza walka prowincjonalnych kapitalistów, którzy ze skutkiem okpili wynalazcę Sècharda. Socjologicznie, gdyż w losach Lucjana ujawnia swój sens całe zagadnienie **rozbicia kultury** przez kapitalizm. Zrezygnowany Sèchard odczuwa zupełnie słusznie, że w istocie chodzi przecież o wykorzystanie wynalazku, a oszustwo, którego padł ofiarą, jest tylko wynikiem jego osobistej niezręczności. Przeciwnie, upadek Lucjana ukazuje jednocześnie poniżenie i sprostytuowanie literatury w ustroju kapitalistycznym.

Kontrast obu głównych postaci wyraża też w najwłaściwszy sposób oba zasadnicze rodzaje ideologicznej reakcji na merkantylizację ideologii. Linia Sècharda charakteryzuje się **rezygnacją**. Rezygnacja odgrywa w mieszczańskiej literaturze XIX wieku bardzo ważną rolę. Późny Goethe jest jednym z pierwszych, który uderza w ten ton, jako odgłos nowego okresu w rozwoju mieszczaństwa. Balzac w swych dydaktyczno-utopistycznych powieściach idzie najczęściej drogą Goethego. Jedynymi w mieszczańskim społeczeństwie mającymi na oku cele społeczne nie egoistyczne są ludzie, którzy zrezygnowali, względnie zrezygnować musieli z osobistego szczęścia. Rezygnacja Sècharda miała niewątpliwie nieco inny charakter. Zaprzestaje on walki, rezygnuje z osiągnięcia jakichkolwiek celów, chcąc w spokoju i osamotnieniu żyć tylko swoim osobistym szczęściem. Kto chce pozostać czysty, musi się wycofać z trybów kapitalizmu. Oto jest myśl, z jaką Sèchard wcale nie ironizuje, wcale nie wolteriańsko „uprawia swój ogródek".

Lucjan, przeciwnie, wkracza w paryskie życie, chcąc dochodzić praw i doświadczyć siły działania czystej poezji. Stanie się przez tę walkę jedną z wielu postaci owych młodzieńców z epoki ponapoleońskiej, którzy zetknąwszy się z życiowym brudem bo-

haterskiego okresu marnują się, lub przez przystosowánie się do niego wspinają coraz wyżej, jednym z licznych Julianów Sorelów, Rastignaców, dé Marsay'ów, Blondetów itp. Zajmuje on jednak wśród nich miejsce zupełnie specjalne. Z niesłychaną subtelnością i odwagą odtwarza w nim Balzac nowy, specyficznie mieszczański typ poety: poetę jako harfę Eola dla najrozmaitszych wiatrów i burz społecznych, jako bezwolny i bezkierunkowy, nadwrażliwy kłębek nerwów. Typ poety, który w tym okresie pojawia się jeszcze tylko sporadycznie, ale który stanie się wybitnie charakterystycznym w późniejszym rozwoju poezji mieszczańskiej (od Verlaine'a po Rilke'go). Jako typ stanowiący skrajne przeciwieństwo tego, czego Balzac sam żądał od literatury, a czego wizerunek będący jego autoportretem dał w tej powieści w postaci d'Arthèsa. Ale właśnie tak zarysowana postać Lucjana nie tylko pełna jest wyjątkowej, typowej prawdy, ale stanowi najlepszą i najwłaściwszą bazę dla wszechstronnego ukazania sprzeczności w procesie „kapitalizacji" literatury. Wewnętrzne przeciwieństwo pomiędzy poetyckim talentem, a ludzką ułomnością Lucjana czyni zeń bezwolną igraszkę wszelkich wykorzystywanych przez kapitalizm estetycznych i politycznych kierunków w literaturze. I właśnie to połączenie braku charakteru i ambicji, tęsknoty do czystości, do uczciwego życia, a jednocześnie wybujałej, lecz bezkierunkowej żądzy sławy i wyszukanych uciech życiowych — umożliwia błyskotliwy sukces, demoralizację i sromotny upadek Lucjana.

Balzac nie wygłasza nigdy ocen moralnych w związku z postępowaniem swoich bohaterów, odtwarza obiektywną dialektykę ich kariery i upadku, uzasadnia jedno i drugie zależnością między charakterami i całokształtem warunków zewnętrznych, a nie oderwaną oceną ich „zalet" czy „wad". Rastignac w początkach swej kariery nie jest mniej moralny niż Lucjan, jednakże inny rodzaj połączenia talentu i braku charakteru pozwala mu mądrze używać tego samego rodzaju życia, które zewnętrznie i wewnętrznie niszczy Lucjana mimo jego naiwnie-amoralnego makiawelizmu.

W tej tragicznej epopei znajduje pełne potwierdzenie złośliwy aforyzm, użyty przez Balzaca w noweli o Melmocie: „ludzie dzielą się na kasjerów i grabieżców, to znaczy na uczciwych głupców i oszustów".

Tak więc w gruncie rzeczy zasadą spajającą tę powieść jest sam proces społeczny, ofensywa i zwycięstwo kapitalizmu stanowią jej właściwą akcję. Głębszy sens zguby Lucjana polega na tym, że zguba ta jest typowym losem twórcy o prawdziwym, poetyckim talencie w okresie rozwoju kapitalizmu.

Mimo to kompozycja Balzaca nie jest tu bynajmniej abstrakcyjna: „Stracone złudzenia" nie są powieścią poświęconą — jak u późniejszych powieściopisarzy — określonej „gałęzi" czy „wycinkowi" społecznego życia, pomimo że Balzac w wysoce subtelny sposób prowadząc akcję uwzględnia momenty dotyczące demoralizacji życia literackiego i tylko te momenty rozwoju kapitalizmu wydobywa na jaw. Społeczne ogólniki nie występują nigdy u Balzaca na plan pierwszy. Osoby z jego powieści nie są nigdy po prostu „postaciami", które wyrażają poszczególne strony opisywanej przezeń rzeczywistości społecznej. Ogólny sens społeczny wyraża się u Balzaca w sposób skomplikowany, nierównomierny, zagmatwany i pełen sprzeczności w chaosie przeżyć osobistych i przypadkowych zdarzeń. Sens poszczególnych sylwetek ludzkich i sytuacji nie występuje nigdy w prostej i bezpośredniej formie, lecz wynika zawsze z całokształtu określających je sił społecznych. Dlatego właśnie powieść ta, mająca głęboki sens ogólny, jest jednocześnie w sposób nieodrodny powieścią o określonym pojedyńczym człowieku. Lucjan de Rubempré pozornie tylko działa w sposób niezależny przeciw wewnętrznym i zewnętrzym siłom, które stoją na drodze jego kariery, które pozornie przyśpieszają lub hamują jej bieg na skutek przypadkowych osobistych okoliczności i które w coraz to innej postaci wyrastają z tego samego społecznego podłoża, jakie określa dążenia samego Lucjana.

Ta jedność w wielości stanowi charakterystyczną cechę pisarskiej wielkości Balzaca. Daje ona jednocześnie literacki wyraz przenikliwości i prawidłowości jego oceny ruchów społecznych. W przeciwstawieniu do bardzo wielu wybitnych powieściopisarzy u Balzaca nie interwenjuje nigdzie „deus ex machina" (jak np. tajemnicza wieża w „Latach nauki Wilhelma Meistera") gdyż każdy „tryb" w „machinie" jaką stanowi akcja jego powieści — to zupełnie samodzielny, plastyczny, żywy człowiek, jego osobiste sprawy, namiętności radości i smutki. Jeden z elementów tego wspólnego kompleksu bytu i świadomości włącza go w przebieg akcji powieści, pozostawiając jednak na uboczu jego czysto indywidualne dążności życiowe. Zgodność ta jest żywa i konieczna, wyrasta bowiem organicznie z jego interesów, namiętności itp. To własne, szerokie, wewnętrzne uzasadnienie każdej postaci daje je pełnię życia, nie pozwala jej stać się tylko mechaniczną wstawką w akcję całości.

Z takiej koncepcji postaci balzakowskich wynika to, że nie mieszczą się one w ramach akcji. I chociaż akcja u Balzaca jest rozplanowana szeroko i rozlegle, to jednak obejmuje ona tak wielką liczbę postaci, i to postaci, które cechuje właśnie owa wielostronna pełnia życiowa, że tylko nieliczne pośród nich mogą w niej wyżyć się całkowicie. Ta pozorna usterka balzakowskiej kompozycji powieściowej która właśnie w owej życiowej pełni ma swoje źródło, uzasadnia cykliczną formę powieści Balzaca. Ważniejsze i bardziej typowe postaci, którym jedna z powieści pozwoliła ukazać w sposób epizodyczny tylko niektóre z ich cech istotnych, wychodzą poza jej ramy domagając się opracowania w utworze, którego akcja i temat byłyby dobrane tak, aby mogły one się tam znaleźć, w centrum akcji dzięki rozwinięciu całej pełni właściwych sobie rysów i możliwości. (przypomnieć tu można Blondeta, Rastignac'a, Natana, Michała Crestien i in.). W ten sposób cykliczne powiązanie jest u Balzaca podyktowane koniecznością rozwoju charakterów i nie jest nigdy tak pedantycznie suche jak najlepsze cykle powieściowe najwybitniejszych nawet pisarzy. Podział cyklu na części nie wynika z przyczyn zewnętrznych, leżących poza bohaterem, jak podział na odcinki czasu lub rozgraniczenie poszczególnych zagadnień.

To co ma charakter ogólny jest tedy u Balzaca zawsze konkretne, realne i umiejscowione w rzeczywistości. Polega przede wszystkim na głębokim ujęciu typowości poszczególnych postaci. Typowości, która z jednej strony nie obniża, lecz przeciwnie, podkreśla ich indywidualność i niepowtarzalność, z drugiej zaś pozwala w sposób skomplikowany lecz przejrzysty wyjść na jaw stosunkowi poszczególnej postaci do społecznego środowiska, którego jest ona wytworem, na tle którego występuje i działa.

Ale ani typowość dotycząca samej postaci, ani jej stosunek do społecznego tła nie daje się nigdzie sprowadzić do jakiegokolwiek schematu. Pełne, wyrobione charaktery działają w skomplikowanej i konsekwentnie przedstawionej rzeczywistości społecznej. Całość społecznej sytuacji zazębia się o całość charakteru. Genialna wynalazczość Balzaca polega właśnie na takim wyborze i takim operowaniu postaciami, że ta z nich umiejscowiona zostaje w danej chwili w centrum akcji, której najściślej indywidualne właściwości najbardziej się do tego nadają, która potrafi w sposób najbardziej zróżnicowany i w związku z całością naświetlić najistotniejszą w danym wypadku stronę zachodzących procesów społecznych. Dlatego poszczególne części cyklu są zupełnie samodzielnym obrazem poszczególnych losów ludzkich, rzucając jednocześnie światło na zjawiska typowe, charakteryzujące całe społeczeństwo. Jedne od drugich dają się oddzielić tylko pojęciowo, tylko zapomocą analizy. W samym utworze są one nierozdzielne, jak ogień i wytwarzane przezeń ciepło. W taki sposób wiąże się zagadnienie Lucjana z zagadnieniem ukapitalistycznienia literatury.

Tego rodzaju kompozycja wymaga ogromnie szerokiego uzasadnienia w rysunku charakterów i w kierowaniu akcją. Rozmach ten jest konieczny *również* po to, aby przypadkowość doboru postaci i wydarzeń, którymi Balzac, jak wszyscy wielcy epicy, rozporządza zupełnie swobodnie i władczo, nabrała cech konieczności. Tylko szerokie i różnorodne tło wydarzeń może stanowić pole do owocnego twórczego wykorzystania przypadkowości i podniesienia jej do rzędu ogólnego prawa.

„W Paryżu tylko ludzie z dużymi stosunkami mogą liczyć na przypadek: im masz ich więcej, tym bardziej liczyć możesz na powodzenie. Przypadek zwycięża tylko wtedy, gdy podtrzymują go silne bataliony."

Forma artystycznego przezwyciężania przypadkowości jest zatem u Balzaca „staromodna" i odróżnia go zasadniczo od najnowszych pisarzy. W przedmowie do powieści „Manhattan Transfer" Dos Passosa Sinclair Lewis skrytykował „stary" sposób budowy akcji, mając na uwadze głównie Dickensa, lecz ostrzem swej krytyki zwracając się także przeciw Balzacowi. Pisał on: „...metoda klasyczna—o tak, wymagała rzeczywiście starannego ekwipunku! Nieszczęśliwy zbieg okoliczności zmuszał doktora Jonesa do spotkania się z panem Smithem w pocztowym dyliżansie, by mogło stać się coś rzeczywiście dramatycznego i zajmującego. W „Manhattan Transfer" losy poszczególnych ludzi albo wcale nie krzyżują się, albo zdarza się to w sposób zupełnie naturalny". W cieniu tej nowoczesnej koncepcji ukrywa się — u najlepszych pisarzy niewątpliwie niezależnie od ich świadomości — powierzchowne nie dialektyczne pojmowanie przypadkowości i przyczynowości. Przypadek jest tu niesłusznie przeciwstawiony związkowi przyczynowemu i można by sądzić, że przypadek przestaje być przypadkiem, kiedy odkryje się jego bezpośrednie, przyczynowe uzasadnienie.

Nie wnosi to jednak niczego lub wnosi bardzo niewiele do zagadnienia motywacji artystycznej. Jeżeli tego rodzaju przypadkiem uzasadnimy powikłania o charakterze tragicznym, będzie to odczute przez czytelnika jako groteska i żaden łańcuch przyczynowy nie da takiemu uzasadnieniu siły przekonywującej. Najgruntowniejszy opis terenu, na którym Achilles złamał nogę goniąc Hektora, najświetniejsza medyczna analiza przyczyn, które wywołały ból gardła Antoniusza przed jego przemówieniem na Forum — mogłyby uczynić na nas jedynie wrażenie groteskowych przypadkowości. Naodwrót zaś: z grubsza zarysowane i prawie nieuzasadnione zdarzenia, które doprowadzają do śmierci Romea i Julię — nie wydają nam się wcale przypadkowymi.

Czemu to przypisać? Oczywiście temu, że w tym wypadku konieczność odbiera przypadkowości jej małoznaczący charakter i włącza go w usystematyzowany szereg powiązanych ze sobą przyczyn, a to dlatego, że nieodwracalny charakter całego kierunku rozwoju wyznacza prawdziwą konieczność artystyczną.

Miłość Romea i Julii musi mieć zakończenie tragiczne. I ta konieczność uzależnia od siebie wszystkie okoliczności, które są bezpośrednią przyczyną rozmaitych wydarzeń w poszczególnych etapach akcji. Czy i w jakim stopniu okoliczności te wzięte z osobna zostaną umotywowane jest zagadnieniem mniejszej wagi. Każdy zbieg okoliczności jest jednakowo przypadkowy, a pisarz ma prawo wybierać spośród równie prawdopodobnych lub równie mało prawdopodobnych te, które są artystycznie najpłodniejsze.

Georg Lukacs

(dokończenie w numerze następnym)

ANATOL ESTRYN (Tanger)

NA SZLAKACH PANARABIZMU

GDY W KOŃCOWYM etapie wojny angielska dyplomacja tworzyła Ligę Arabską, eksperci z Foreign Office'u traktowali to jako jeszcze jedno posunięcie na szachownicy politycznej Bliskiego Wschodu, gwarantujące brytyjski stan posiadania. Rachunek zresztą jak dotychczas okazał się bezbłędny. Liga Arabska mimo niepodległościowej frazeologii nie zawiodła zaufania swych imperialistycznych mocodawców. Mrzonki panarabskie praktycznie spychają na dalszy plan prawdziwą walkę o niepodległość, walkę z imperializmem, jaka toczy się na terenie każdego poszczególnego kraju arabskiego. Jasne jest dzisiaj, że rzeczywiste wyzwolenie ludów arabskich może być wywalczone nie tylko niezależnie od Ligi Arabskiej, lecz po prostu wbrew Lidze i jej przywódcom, wśród których poważną rolę odgrywają dawni kolaboracjoniści Hitlera, przesiąknięci nawskroś faszystowską ideologią i nieukrywanym uwielbieniem dla faszystowskich metod politycznych.

To politycznie reakcyjne i antyludowe oblicze Ligi Arabskiej nie powinno jednak przesłaniać realnego faktu: zmontowanie Ligi stało się możliwe dzięki głęboko zakorzenionemu i drzemiącemu niemal w mitotwórczej podświadomości ludowej poczuciu jedności narodowej świata arabskiego. Wyraz podświadomość jest tu bodaj najodpowiedniejszym określeniem. Na pytanie: kim jesteś?— Egipcjanin, Syryjczyk, czy Marokańczyk odpowiada przede wszystkim: jestem muzułmaninem lub Arabem. Ojczyzna w sensie europejskim: Egipt, Syria czy Marokko, nabiera charakteru raczej prowincjonalnego, staje się „petite patrie", jak dla Francuza Pikardia czy Gaskonia, dla Polaka Podhale czy Mazowsze.

Jaka jest ta jedność? Czy to jedność chrześcijańskiej Europy Innocentego III, czy jedność bismarkowskich Niemiec? Jaka jest jej treść polityczna niezależnie od pobożnych życzeń panarabskich i gdzie tkwią jej korzenie? Dla nacjonalistycznej inteligencji arabskiej koncepcja więzi kulturalno-religijnej nie jest nęcąca. Historia Europy i historia Islamu dowiodły, że twory budowane na tej podstawie nie były ani trwałe, ani odporne. W poszukiwaniu naukowych podstaw jedności świata arabskiego historiozofia arabskiego nacjonalizmu usiłuje znaleźć uzasadnienie w swoiście pojętej laicyzacji dziejowej roli Islamu, w analizie tych jego elementów, które dziś jeszcze wydają się aktualne. Uczniowie europejskich i amerykańskich uniwersytetów — przywódcy ruchu nacjonalistycznego, poddają się nieodpartemu urokowi żelaznej logiki historycznego materializmu. Zatrzymując się jednak w pół drogi, nie dochodząc świadomie do stanowiska klasowego, którego się obawiają, tworzą jakąś typową wschodnią mieszaninę filozoficzną, gdzie elementy naukowego myślenia socjologicznego i najczystsza metafizyka historiozoficzna splatają się w system, z którym można się nie godzić, ale który warto poznać jako ideowy wyraz sprzeczności, jakimi rozdarty jest ruch wyzwoleńczy narodów kolonialnych i półkolonialnych: sprzeczności między antyimperializmem młodej nacjonalistycznej burżuazji i jej postawa społeczna.

Dom mego przyjaciela, Araba, któremu doktorat francuskiego uniwersytetu nie przeszkodził odbyć pielgrzymki do Mekki, z zewnątrz nie zwróciłby niczyjej uwagi, wewnątrz natomiast wygląda jak pałac z bajki z tysiąca i jednej nocy.

— Różnimy się nawet w szczegółach — mówi z uśmiechem mój przyjaciel, — wasze domy są z zewnątrz wspaniałe, wy na znak szacunku odkrywacie głowę, my zrzucamy obuwie, niebieskie oczy są dla was symbolem niewinności, dla nas czymś złowieszczym.

Przyjaciel mój, który po pielgrzymce do Mekki dorzucił do swego imienia przedrostek „Hadż", co przejdzie także na jego potomków, którzy będą się nazywali „ben-hadż" (syn pielgrzyma") opowiada mi o swej pielgrzymce, a następnie dorzuca:

— Mamy mówić o zagadnieniach arabskich. Sądzę, że najlepiej będzie gdy zacznę od religii. Człowiek zachodu nie zrozumie nas dopóki nie uświadomi sobie orientalnego stosunku do religii. Zauważył Pan chyba jak rzadko Arab w środowisku arabskim łamie przepisy religijne. Nie z obawy przed sankcjami, lecz dlatego, że jest to zarówno w pojęciu jednostki jak i zespołu muzułmańskiego czymś niedopuszczalnym, że tkwi to we krwi, że przepis religii jest jak na zachodzie przepis prawa. Czy wielu ludzi łamie publicznie prawo na Zachodzie? W umysłowości wschodniej zaciera się różnica między przestępstwem i grzechem. Wypełnianie przepisów naszej religii nie jest tak łatwe jak na Zachodzie. Modlimy się pięć razy na dobę, a jedna z tych modlitw przypada w nocy. Przez cały miesiąc — Ramadan — jadamy tylko w nocy, a w dzień pościmy. Czy uświadamia Pan sobie co znaczy miesięczne półpoście? Przez cały miesiąc żyjemy życiem zwolnionym. Nie ma mowy o normalnej pracy. Wiem, że i w Europie są nocne modlitwy, lecz zmawiają je tylko mnisi. Tylko mnisi umartwiają się długotrwałymi postami. Sądzę, że Europejczyk najlepiej zrozumie Islam, gdy uświadomi sobie, że w sensie zachodnim jesteśmy społeczeństwem składającym się z samych duchownych. Islam podobnie jak judaizm nie ma kleru, nie ma hierarchii kościelnej. Jesteśmy społeczeństwem duchownym. Każdy jest kapłanem, każdy może dokonywać obrzędów religijnych. Ten moment wyjaśnia głęboką demokrację islamu. Nasi przywódcy duchowi i polityczni osiągają swe stanowiska dziedzicznie lub naskutek własnych zasług, lecz nigdy w rezultacie uciążliwego przechodzenia przez szczeble hierarchii kościelnej. Zachód zawsze był laicki. Wschód zawsze był pełną teokracją. W najgłębszym średniowieczu istniała w Europie sfera życia świeckiego, mieliście świeckie instytucje, mieliście walkę kościoła z cesarstwem. Wyjątki teokratyczne na zachodzie, jak rzymskie państwo kościelne, zakon teutoński w Prusach, Paragwaj pod panowaniem Jezuitów czy Utah mormonów można wyliczyć na palcach. My nigdy nie mieliśmy i właściwie nie mamy po dziś dzień żadnej prawdziwie świeckiej instytucji. Nie znaliśmy innej formy władzy niż cezaro-papizm w najczystszej postaci. Zresztą ten sakralny, duchowny charakter naszej organizacji społecznej nie jest cechą wyłącznie arabską. Islam kontynuuje tradycje przedislamickie: egipskie, chaldejskie, judejskie.

— Mam wrażenie — wtrącam, — że nauka muzułmańska rozpoczyna historię arabską od Mahometa. O tradycjach wcześniejszych się nie wspomina.

— To niezupełnie zgadza się z prawdą. Tradycje przedislamickie przechowały się w naszej pamięci, baśniach i legendach. Wspaniała epopea islamu przyćmiła te tradycje. Nie wolno nam jednak o nich zapominać. Ani wy nas, ani my sami nigdy się nie zrozumiemy, zanim nie uświadomimy sobie prawdy, jaka płynie z naszej prawdziwej historii. Jesteśmy starzy, bardzo starzy — dorzucił mój rozmówca, — dwa razy starsi niż wy. Wy macie trzy tysiące lat, my sześć.

MIECZYSŁAW SIEWIERSKI

Zbrodnie przeciw ludzkości w rządach Alberta Forstera*)

PROCES Alberta Forstera na odcinku oskarżenia o bezprawia z okresu jego rządów okupacyjnych nad Gdańskiem i Pomorzem ukazał w ostrym świetle reflektorów prawdy dwa światy odrębne: świat pokrzywdzonych i świat krzywdzicieli, świat ciemiężonych i świat ciemiężców, świat mordowanych i świat morderców — świat brutalnej, żadnymi względami ludzkimi niehamowanej siły i świat bezbronnej, spokojnej ludności, wydanej na łup najeźdźcom.

Te dwa przeciwstawne sobie światy występowały zawsze i wszędzie obok siebie: na placach egzekucyjnych, na podwórzach obozowych, w celach więziennych, w podziemiach Gestapo. Występowały one również — choć mniej obrazowo — w każdym wydanym przez okupanta przepisie, ograniczającym Polaków w ich prawach, w każdym obwieszczeniu publicznym o jakimś nowym zakazie albo o rozstrzelaniu nowej grupy Polaków.

Oglądaliśmy tu liczne zdjęcia fotograficzne, całe albumy pozostawione przez okupanta, skrzętnie zebrane przez nasze społeczeństwo i załączone do akt niniejszego procesu. Uderzało w nich szczególne upodobanie, z jakim hitlerowscy fotografowie utrwalali na swych zdjęciach właśnie to zestawienie dwóch światów.

Niezwykłym powodzeniem cieszyły się widocznie u Niemców zdjęcia samych egzekucji albo też zdjęcia ludzi bezpośrednio przed egzekucją, ustawionych zazwyczaj z rękoma do góry wzdłuż murów lub nad wykopanymi grobami, albo przed wylotem luf karabinowych plutonów egzekucyjnych.

Zatrzymajmy wzrok na uwiecznionych tam twarzach przedstawicieli tego świata, który właśnie odnosi łatwe zwycięstwa nad bezbronnymi.

Twarze tryumfatorów pełne są buty i dumy. Tryumfują nad grobami rozstrzelanych lub zabitych pałką, tryumfują nad ustawionymi w szeregach więźniami, tryumfują na widok obozów i kolczastego ogrodzenia. Nie widać nawet w ich oczach okrucieństwa, widać tylko i przede wszystkim: zadowolenie z siebie i z dokonanego dzieła.

Wśród tych zdjęć „tryumfatorów" z jednej twarzy bije w oczy wyraz szczególnego zadowolenia. Jest to twarz Alberta Forstera, Gauleitera i Reichsstatthaltera. Promienieje wówczas, gdy przyjmuje defiladę SS - Heimwehry i wręcza jej sztandar, i wówczas, gdy po wcieleniu Gdańska oprowadza po mieście i pobojowisku Westerplatte Hitlera, i wówczas, gdy dekoruje krzyżem gdańskim herszta morderców, dowódcę Selbstschutzu von Alvenslebena.

Taką samą na pewno miał twarz, gdy oglądał Polaków gdańskich, uwięzionych i umęczonych we wrześniu 1939 r. w Victoria-Schule albo później w obozie w Stutthofie, gdy jechał na widowisko egzekucji w Tucholi, gdy na korytarzu więziennym w Bydgoszczy patrzał na tych, których kazał potem rozstrzelać bez postępowania sądowego i bez wyroku ale z powołaniem się na wolę Führera. Nie utrwalił wprawdzie scen tych fotograf, ale utrwalił je z równą wyrazistością przewód sądowy.

Gdy zestawiam tę twarz pełną zadowolenia z wklejonymi ręką niemiecką do tego samego albumu, wykonanymi przez niemieckiego fotografa zdjęciami świata prześladowanego, narzuca mi się pytanie: czy to twarz o rysach ludzkich, czy to twarz człowieka? Ma ona postać zewnętrzną twarzy ludzkiej, ale czy człowiekowi temu właściwe są uczucia ludzkie?

To samo pytanie cisnęło mi się na usta, gdy przed N.T.N., jak na taśmie filmowej, przesuwały się makabryczne sceny prześladowań, a oskarżony milczał. Odgrodził się wówczas fałszem rzekomej niewiedzy o tym, w jaki sposób w Gdańsku i na Pomorzu realizowano wytyczne przeprowadzanej przez niego „Volkstumspolitik", oraz zdawkowym „potępieniem... nadużyć, które przyniosły hańbę kulturze niemieckiej".

Nie wypowiedział ani jednego słowa prawdziwego, rzetelnego potępienia, które by świadczyło, że dziś już widzi całą potworność swej polityki, że mu żal ofiar jego rządów, że pragnie dać z siebie jakieś zadośćuczynienie.

Zamiast tego oświadczył tylko jedno: że... **żył nadaremnie**, że oto stoi wobec bezowocności swych wysiłków, wobec bezskuteczności swych poczynań. Gdyby więc owe poczynania przyniosły pożądany skutek w postaci zniemczenia kraju i zagłady polskiej ludności — na pewno byłby z dokonanej zbrodni tak zadowolony, jak na zdjęciach swych w roli Gauleitera i Reichsstatthaltera.

Dzisiaj oskarżony widzi tylko bankructwo swojej polityki, jak również polityki całego faszyzmu, i składa oświadczenie że... źle się stało iż zbankrutował. Tyle tylko znalazł słów dla oceny własnego postępowania. Czy tak czuje człowiek?

Proces niniejszy ujawnił nie tylko dwa odrębne światy, ale również dwa przeciwstawne sobie światopoglądy. Jeden — to światopogląd ugruntowany przez doktrynę faszystowską, oparty na dyskryminacji i eksterminacji ludzi, światopogląd, którego motorem jest żądny zdobyczy imperializm. Z natchnień tego światopoglądu Albert Forster sprawował swe rządy.

Drugi — to światopogląd, w imię którego zwycięska Demokracja stworzyła sądy nad zbrodniarzami wojennymi. W imię tego światopoglądu oskarżamy Alberta Forstera o zbrodnie przeciw ludzkości zdziałane na Narodzie Polskim.

*

Zbójecka napaść niemiecka na Polskę nie była wojną w rozumieniu prawa narodów nie tylko dlatego że łamała obowiązek prawny poniechania wojen na mocy paktu Brianda-Kelloga, nie tylko dlatego, że nastąpiła bez wypowiedzenia wojny, ale przede wszystkim dlatego, że jej bezpośrednim celem była aneksja ziem polskich i Gdańska natychmiastowa, w czasie trwania niezakończonego jeszcze konfliktu zbrojnego i niezależnie od dalszych wyników wojny.

Dla Hitlera i jego adherentów klęska wrześniowa armii polskiej w r. 1939 była wystarczającym powodem do stworzenia faktu dokonanego wcielenia ziem zagarniętych do Rzeszy. Nic to, że wojna toczyła się dalej, że rząd polski istniał nadal, choć poza granicami państwa, że w wojnie aż do jej zwycięskiego końca brało udział wojsko polskie pod narodowymi sztandarami.

Nic to że nie było ani tzw. **debellatio**, ani kapitulacji armii polskiej, że Sprzymierzeni walczyli nadal, nie tylko nie uznając dokonanej aneksji, ale ostro przeciw niej protestując. Żaden legalny czynnik międzynarodowy nie dał swego **placet** na wcielenie Gdańska i ziem polskich do Rzeszy.

Program hitlerowski uznał chwilę tę za wymarzoną, aby nadużywając władania okupowanym krajem — zmienić jego fizjonomię narodową i uczynić kraj ten z polskiego — niemieckim.

Poglądy prawne XX wieku pogłębiły ugruntowaną od dawna zasadę, że walczą ze sobą armie, a ludność cywilna musi być chroniona i prawa jej mogą o tyle tylko doznać uszczuplenia, o ile wymaga tego absolutna konieczność natury militarnej. To zaś nie zachodziła.

Niemcy hitlerowskie zrabowały nam kraj razem z ludnością i ludność tę poczęły niszczyć. Polaków tolerowano o tyle, o ile byli przydatni jako siła robocza.

Realizatorem tego dzieła w Gdańsku i na Pomorzu był Forster.

Cała akcja germanizacji kraju, poczynając już od odmiennego traktowania Polaków i Volksdeutschów, a tymbardziej od stworzenia odrębnego stanu prawnego dla Polaków i od przeciągania ich na Volkslistę, nie mówiąc już o pozbawieniu ludności okupowanego kraju majątku — wszystko to było jaskrawym bezprawiem, gwałcącym prawo międzynarodowe. A cóż dopiero dyskryminacja oraz fizyczna eksterminacja ludności cywilnej. A przecież one były istotną treścią działalności okupacyjnej oskarżonego.

*

Atak Niemców na Polskę trwa przeszło dziesięć wieków. Każdy okres historii tych walk wnosił inny typ zmagań. Na każdym z tych okresów wycisnęła piętno indywidualność ich wodzów: książąt, cesarzy, wielkich mistrzów krzyżackich. Na okresie ostatnim tej walki wycisnęła swe piętno przede wszystkim sama doktryna hitleryzmu. U podstaw tej doktryny leży dyskryminacja ludzi, którzy nie są Niemcami albo nie dają gwarancji podporządkowania się dążeniom i interesom polityki niemieckiej. I dawniej polityka niemiecka z nami walczyła. W XIX jednak stuleciu starała się nie przekraczać granic pewnej praworządności. Hitleryzm nie krępował się żadnymi względami prawnymi. Albo wydawał przepisy prawne, których treść w rzeczywistości była bezprawiem, albo działał nie oglądając się na jakiekolwiek normy prawne.

Na przestrzeni wieków owej walki Forster nie jest postacią odosobnioną. Dlaczego jemu właśnie przypadła w udziale odpowiedzialność karna za takie zbrodnie, których jego poprzednicy dokonywali bezkarnie? Dlatego, że demokracja świata zmieniła stan prawny po zwycięstwie nad faszyzmem. Demokracja nie wyznaje doktryny hitlerowskiej. Forster nie odpowiada dziś za to, że jest Niemcem. Nie odpowiada również za przeszłe pokolenia niemieckie, które wojowały bezprawiem. Forster odpowiada tylko za siebie, za te zbrodnie, których sam dokonał.

Pojedyńczego zabójstwa, rozboju czy kradzieży, może dokonać jedna osoba swym własnym działaniem. Tam jednak, gdzie akcja zbrodnicza ogarnęła kraj cały, aparat sprawców przestępstwa musi być liczny i odpowiednio zorganizowany. Aparat ten musi mieć swego przywódcę — nie tylko jako technicznego kierownika działania, ale przede wszystkim jako inicjatora, który słowem i czynem zagrzewa innych do czynu, który stara się wykrzesać wolę działania.

Doktryna hitlerowska z jej zasadą „Führer - prinzip" sprawiła, że w rękach Forstera skupiła się ogromna władza. Jego moc czynienia zła sięgała często dalej aniżeli formalne uprawnienia wielkorządcy.

W tym kraju wszystko dokonywało się w imieniu Forstera, on bowiem był tutaj pierwszym prorokiem jedynego boga niemieckiego owych czasów — Hitlera. Przecież Hitler narzucił go Gdańskowi, obdarzył go władzą, uczynił z niego realizatora swych zamierzeń, a prorok działalnością swą chciał dobrze zasłużyć się Führerowi.

W Trzeciej Rzeszy państwo i partia stanowiły jedność. Dlatego Gauleiter partii i namiestnik Rzeszy w jednej osobie miał najszersze możliwości działania, bo tam, gdzie kończyły się uprawnienia namiestnika, trwały jeszcze dalej uprawnienia gauleitera.

Czego więc nie dokonał Forster jako namiestnik, tego dopełnił jako gauleiter, w tym bowiem charakterze był przełożonym partyjnym wszystkich Niemców — członków N.S.D.A.P., którzy na tym terenie pełnili swe obowiązki.

*

W toku przewodu sądowego przedstawiciele oskarżenia publicznego zmuszeni byli wiekrotnie zadawać kłam twierdzeniom osk. Forstera — zawsze z powołaniem się na dokumenty, które druzgotały jego wywody. Przeszłość oskarżonego wskazuje, że był to gracz polityczny szczególnie wyrobiony w posługiwaniu się kłamstwem. Już sam program partyjny NSDAP oparty był w znacznej mierze na fikcjach i zakłamaniu. Musiał przecież ukryć przed światem te drogi, jakimi później realizował swe założenia, jak np. całą politykę eksterminacyjną wobec Polaków oraz metody zagłady Żydów. A należy tutaj podkreślić, że technika mordowania bezpośredniego, masowego wszystkich Żydów zastosowana została na Pomorzu już w 1939 r. a więc na 2 lata przed generalną zagładą zastosowaną gdzie indziej.

W swej taktyce politycznej przed wojną Forster starał się wielokrotnie ukryć właściwy sens swych posunięć — że przytoczę chociażby „flirt" polityczny z ówczesnym rządem Polski, który tak źle strzegł naszych rzeczywistych interesów w stosunkach z W. Miastem.

Ta sama taktyka ukrywania prawdy była podstawą jego posunięć politycznych w sprawowaniu rządów okupacyjnych.

Forster wysuwając w stosunku do Polaków hasło **Ausrotten** starał się zataić wobec opinii niemieckiej, że wysiedlanie niepodatnej na germanizację ludności przeprowadza gwałtem częściowo przez wymordowanie na miejscu lub w obozach koncentracyjnych, częściowo przez stopniowe wyniszczenie w obozach innego typu, wreszcie przez powolną eksterminację Polaków drogą stworzenia im takich warunków bytu, które prowadziły wprost do zagłady.

Nawet teraz, gdy osk. Forster zabierał głos na rozprawie zdawało się, że w tej sali, której mury przesiąkły dźwiękiem jego hitlerowskich przemówień — pragnie kontynuować swoją dawną grę polityczną i okłamywać sędziów polskiego Najwyższego Trybunału Narodowego, tak jak dawniej otumaniał rzesze swoich wyznawców.

Ale od czasów płomiennych jego mów w tej sali — wiele się na świecie zmieniło.

Salę tę wypełnia tłum innych ludzi: już nie tych, którzy, posłuszni nawoływaniu Forstera, stali się krzywdzicielami ludu polskiego, lecz tych, którzy wczoraj byli ofiarami Forstera, a dziś oczekują słusznego wyrównania swej krzywdy. Dawniej Forster jako mówca mógł być pewien oratorskich sukcesów. Jego zbrodnicze plany miały bowiem poparcie olbrzymiej większości niemieckiej ludności Gdańska. Im bardziej był perfidny, tym chętniej słuchany był przez bezkrytyczny tłum w brunatnych koszulach ozdobionych swastykami.

Dziś obywatele Rzeczypospolitej zebrani w tej sali, zgromadzeni wokół głośników przed gmachem — wszyscy pokrzywdzeni w całym kraju złożyli w ręce sędziów NTN wymiar sprawiedliwości nad wielkimi zbrodniarzami wojennymi. Oczekują oni nie prymitywnego zaspokojenia uczucia zemsty przez taką czy inną karę, związaną z dolegliwością fizyczną oskarżonego, ale zadośćuczynienia za swe krzywdy. Oczekują oni, aby została przypieczętowana cała prawda, aby sprawca ich nieszczęść musiał się do swych niskich uczynków przyznać, aby spotkała go kara z ręki Sądu polskiego — Sądu, który kieruje się nie namiętnością, nie chęcią osiągnięcia doraźnych celów politycznych, jak to wielekroć czyniły sądy hitlerowskie, lecz zasadami prawa jednakimi dla sądzenia wielkich i małych zbrodniarzy, dla sądzenia Polaków i Niemców, dla sądzenia tych, których się kocha, i tych, których się nienawidzi.

*

Wielostronnej działalności bezprawnej osk. Forstera w czasie sprawowania przezeń rządów okupacyjnych ma obecnie NTN nadać właściwą kwalifikację, a więc ocenę prawną według odpowiednich przepisów obowiązującego prawa karnego. Wszystkie czyny oskarżonego we wspomnianym zakresie noszą tę osobliwą cechę, że były one z punktu widzenia hitlerowskiego legalne. Bowiem według hitlerowskiej doktryny prawnej, zgodne z prawem było wszystko, co służyło dobru narodu niemieckiego — oczywiście dobru w rozumieniu hitlerowskim.

Jasną jest rzeczą, że poglądy prawne wszystkich społeczeństw kulturalnych, przede wszystkim zaś ustawodawstwo powojenne zwycięskiej demokracji musiało przejść do porządku nad tym, co było wyrazem owej swoistej faszystowskiej moralności.

Z naszego bowiem poglądu na świat wypływa zasada, że zbrodnię popełnia nie tylko obywatel, ale i władca oraz ustawodawca, gdy każe dokonać czynu, który w swej istocie stanowi zbrodnię, choćby działał nie z egoistycznych, lecz z nacjonalistycznych pobudek. Dlatego właśnie nasz światopogląd, potępiając faszyzm i przeciwstawiając się imperializmowi w każdej jego postaci, nie pozwala na wojny zaborcze. Ludzkość doszła do tego poziomu rozwoju umysłowego i moralnego, że stawia wymagania posłuszeństwa prawu nie tylko temu, kto wydaje bezprawny rozkaz, ale i temu, kto ślepo posłuszny bezprawnemu rozkazowi popełnia przestępstwo. Okoliczność, że ktoś działa w wykonaniu zbrodniczej ustawy albo zbrodniczego zarządzenia władzy, lub zbrodniczego rozkazu — nie zwalnia już nikogo od odpowiedzialności karnej, jak to było ongiś. Przepisał to wyraźnie ustawodawca polski w art. 5 dekretu o wymiarze kary dla hitlerowsko-faszystowskich zbrodniarzy z dn. 31 sierpnia 1944 r., wcześniej jeszcze, aniżeli zasada ta zyskała pełnię znaczenia w prawie karnym międzynarodowym.

Naszego poglądu prawnego nie zmieni sztuczny wyraz zdziwienia na twarzy Forstera, gdy spotyka go zarzut popełniania zbrodni takim czynem, który przecież był z jego strony jedynie **wykonaniem** polityki monachijskich partyjnych czy berlińskich rządowych władz zwierzchnich **wykonaniem** hitlerowskiej ustawy lub konkretnego zarządzenia władz Rzeszy. Nasz bowiem pogląd prawny nie mógłby pogodzić się z sytuacją, że gdy zbrakło tych, którzy rozkazywali, wykonawcy rozkazów ujdą bezkarnie.

Gdy pojęcia prawne zbrodni wojennych, zwłaszcza zbrodni przeciw ludzkości, skrystalizowały się ostatecznie, ustawodawstwa świata kultury i postępu po zwycięskiej wojnie wprowadziły wszędzie normy szczególne o karaniu zbrodniarzy wojennych. Nie można jednak uważać, iżby ustawy dotychczasowe w zakresie mieszczącym się w kodeksie karnym każdego państwa nie wystarczyły.

Całokształt działalności osk. Forstera — to wypełnienie istoty wielu pospolitych przestępstw kodeksowych.

Ustawodawca polski r. 1944, świadom praktyk okupanta niemieckiego, słusznie ujął działalność tego rodzaju w jednym syntetycznym przepisie o prześladowaniu ludności cywilnej kraju i o znęcaniu się nad nią. Wszystkie bowiem fragmenty tej zbrodniczej działalności wypływają z tych samych pobudek i skierowane są przeciw temu samemu przedmiotowi: przeciw całości prześladowanego społeczeństwa; stanowią zatem wykonanie tego samego złego zamiaru, różnią się tylko co do postaci zewnętrznej.

Wszystkie społeczeństwa, które albo same doznawały krzywd okupacyjnych, albo dostrzegły niebezpieczeństwo tego zjawiska dla całej ludzkości — zgodnie ustanowiły kary szczególnie surowe za zbrodnie wojenne. Surowość represji sama przez się nie wyplenia jeszcze zjawisk przestępczych, ale jest wyrazem solidarnego wysiłku społeczeństw kulturalnych w dążeniu do wytępienia samej zbrodniczej idei eksterminacji, zniszczenia, zagłady tych czy innych odłamów ludzkości.

Niechże wyrok Trybunału będzie wyrokiem, który się do tego powszechnego wysiłku ludzkości przyłączy.

Niech osąd ten będzie obcy wszelkiej namiętności, niech będzie wynikiem chłodnej rozwagi — zastosowaniem do osoby oskarżonego przepisów prawa. To prawo jest surowe. Dla najcięższych przypadków prześladowania przez okupanta ludności cywilnej i znęcania się nad nią przewiduje w zasadzie jedną tylko karę, karę najcięższą — karę śmierci.

Nie wahajcie się jej wymierzyć, Sędziowie! Najbardziej ludzki będzie wyrok, który uwolni ludzkość od osoby zbrodniarza, niegodnego miana człowieka.

Dziś wszyscy pokrzywdzeni przez Forstera poniechawszy swej zemsty oczekują dlań wymiaru kary słusznej i sprawiedliwej. Krzywda wyrządzona przez Alberta Forstera społeczeństwu polskiemu jest bezmierna. Wina jego przerasta miarę innych, którzy okupowali nasz kraj. Stopień niebezpieczeństwa, jakie tacy ludzie reprezentują dla społeczności świata, jest olbrzymi.

W porównaniu z winą, krzywdą i owym niebezpieczeństwem — kara, której żądam, nie jest wielka. Wielkie natomiast niech będą dalsze skutki Waszego rozstrzygnięcia.

Niech nowa, lepsza, mądrzejsza, sprawiedliwsza organizacja świata stworzy rękojmię, że się zbrodnie przeciw ludzkości więcej nie powtórzą, że Albert Forster nie znajdzie już naśladowców.

Niech się ludzkość wyzwala z barbarzyństwa. Niech Trybunały gruntują praworządność świata.

Mieczysław Siewierski

*) Fragmenty z mowy oskarżycielskiej.

Dyskusja o powieści Andrzejewskiego

(Dokończenie ze str. 8)

(„Co jest ważne? robić swoje" — mówi Szczuka do Podgórskiego).

Ale przecież hart komunisty, hart człowiego peperowca, to nie tylko zahartowanie uczuć na cierpienie i trwanie przy swoim, ale również „opancerzenie" myśli, rozdzieranie lepkiej pajęczyny różnych idealistycznych złudzeń, by w słusznym rozumieniu **konkretnej** rzeczywistości znaleźć zawsze **drogowskaz do konkretnego czynu.** Wyobcowując Szczukę z procesu konkretnych przemian dziejowych i dokonań, podając go wyłącznie od strony moralnej jakości, autor sprawił, że tylko w sposób bardzo niepełny reprezentuje on swoją partię, a Podgórskiego z tych samych przyczyn uczynił Andrzejewski wielokrotnie reprezentantem już zgoła nie peperowskiej postawy.

Melania Kierczyńska

EDWARD SZUSTER

PROPOZYCJE I PERSPEKTYWY

„Piszcie nowele, opowiadania, czy powieści przydatne dla filmu, t. j. nadające się do sfilmowania bez potrzeby przeprowadzania istotniejszych zmian w utworze. Piszcie także utwory przeznaczone specjalnie dla filmu, więc nowele filmowe i scenariusze. W obu wypadkach możecie dobrze zarobić, a my będziemy mogli robić przyzwoite filmy". Tak mniej — więcej apel wygłoszony został przez filmowców polskich na przeprowadzonym w Łodzi studium scenariopisarskim i wezwanie to było leitmotivem całego studium. Przyznać należy, że propozycje te brzmią konkretnie; warto też chyba zastanowić się nad ich wartością praktyczną i spróbować dociec w jakim stopniu mogą być przyjęte przez pisarzy

———

Jak widać filmowcy rozróżniają dwie formy współpracy pisarza z filmem: tworzenie dzieł literackich filmowo przydatnych i bezpośrednie pisanie dla filmu. Mówiąc o alternatywie pierwszej należy określić na czem polega filmowa przydatność utworu literackiego. Ogólnie rzecz biorąc, utwór taki powinien posiadać udramatyzowaną fabułę podaną w relacji przekładalnej na język ekranu. Powinien — mówiąc poprostu — oznaczać się konkretną akcją i mówić o niej odwołując się do słuchowej i wzrokowej wyobraźni czytelnika. Chodzi więc w rezultacie o sprawę stylu pisarskiego w szerokim tego słowa znaczeniu. Stąd wniosek, że wzywając pisarzy do uprawiania przydatnej dla filmu literatury, filmowcy postulują pewien określony gatunek stylu. Przyszłość okaże czy postulat taki może być przez pisarzy przyjęty; dotychczasowe jednak doświadczenia w zakresie propagowania stylów pisarskich nie uprawniają do optymistycznych perspektyw. Już teraz wolno przypuszczać, że nie każdy pisarz będzie mógł lub chciał tworzyć swe literackie prace w sposób filmowo przydatny.

Znajdzie się jednak niewątpliwie grupa pisarzy, dla których rygory pisania filmowego nie będą w pracy literackiej przeszkodą. (Nawiasem mówiąc: tacy pisarze napewno już są. Ciekawe, czy zaproszenia na studium opierały się na ocenie prac uczestników z punktu widzenia filmowej przydatności ich pisarstwa). Powstaną więc utwory pełnowartościowe literacko i jednocześnie przydatne filmowo. Przystępując do sfilmowania takiego utworu z pewnością trzeba będzie dokonać na nim pewnych operacji gdyż do rzędu przypadków naprzykład zaliczyć wypada zdarzenie, że akcji utworu nie trzeba będzie skracać lub rozbudowywać by wypełniła ona taśmę pełnometrażowego filmu. W każdym razie na podstawie filmowanego utworu musi zostać napisany scenariusz, który z utworu weźmie tylko filmowe jego elementy, ma mieć określoną dość rygorystycznie objętość, słowem: mówić powinien to samo co utwór ale w innej formie. Dodajmy jeszcze że praca nad scenariuszem winna być prowadzona — i to jest zrozumiały warunek — w porozumieniu z realizatorem przyszłego filmu. Adaptacja utworu literackiego w scenariusz jest więc procesem obwarowanym wieloma warunkami, z których dla pisarza najważniejszym będzie troska o zachowanie współdźwięku między scenariuszem a utworem. Wydaje się, że warunek ten spełniony będzie całkowicie jedynie w tym wypadku, gdy i utwór i jego filmowa adaptacja będą miały jednego autora. Pisarz sam najlepiej i z najmniejszym uszczerbkiem przeprowadzi na swym utworze potrzebne operacje najlepiej, bo dysponując autorytetem twórcy utworu porozumie się z realizatorem. Musi jedynie być w stanie zabrać się raz jeszcze do opracowanego już tematu a pozatem musi dysponować znajomością techniki scenariopisarskiej. Zauważyć jednak wypada, że z chwilą gdy pisarz przystępuje do pisania scenariusza, zaczyna pisać specjalnie dla filmu i realizowana jest druga z proponowanych form współpracy pisarza z filmem. Ów przydatny filmowo utwór literacki gra w całym procesie rolę noweli filmowej (będzie o niej mowa później) a jego literacka egzystencja nie ma dla filmu istotnego znaczenia. Utwór ten jest jedynie pretekstem do nawiązania kontaktu między jego autorem i kinem a więc wołania filmowców o przydatne filmowo utwory literackie jest wołaniem o preteksty.

Przypuszczać jednak należy, że nie wszyscy autorzy tych przydatnych filmowo utworów literackich staną się autorami scenariuszy. Zaznaczono wyżej, że na drodze wiodącej od utworu do jego adaptacji scenariuszowej spełnić należy sporo warunków, które mogą być przeszkodami dla pisarza. Przypuszczać więc wolno, że nie wszyscy autorzy owych przydatnych filmowo utworów literackich będą jednocześnie pisywać scenariusze. W takim wypadku pisarzowi pozostaje rozstrzygnąć czy zgodzi się na przeprowadzenie adaptacji przez osobę trzecią i poprzestanie na materialnych korzyściach płynących z faktu zrzeczenia się praw autorskich, gdyż nie powinien oczekiwać ujrzenia na ekranie filmowej transpozycji swej wizji artystycznej. Pamiętać trzeba, że nim film zostanie skończony to utwór będący jego pierwowzorem przejdzie interpretację literacką scenarzysty, następnie scenariusz zostanie technicznie zinterpretowany przez realizatora. Naiwnością byłoby przypuszczać, że po tych dwukrotnych metamorfozach filmowany utwór zachowa cechy oryginału. Osiągnięcia w dziedzinie przeróbek filmowych utworów literackich potwierdzają te wnioski w całej rozciągłości.

Przy bezpośredniej, obywającej się bez pretekstu filmowo przydatnego utworu literackiego współpracy pisarza z filmem podstawowe znaczenie przywiązują filmowcy do t. zw. noweli filmowej. Nowela taka jest pierwszą pisarsko - skonkretyzowaną i skoncentrowaną wizją przyszłego filmu. Przyjęcie noweli przez film rozpoczyna dalszy etap współpracy — pisanie scenariusa prowadzone w kontakcie z realizatorem. Nowela zostaje rozbudowana w scenariusz, który jest pełnym pisarskim odpowiednikiem przyszłego filmu.

Spodziewać się należy, iż ten tryb współpracy pisarzą z kinem, będzie w praktyce prostszy i — przedewszystkiem — nastręczający mniej okazji do nieporozumień i zawodów. Przystępując do pisania utworu przeznaczonego przedewszystkiem dla filmu, pisarz musi przyjąć i respektować wszelkie rygory filmowego pisarstwa. Wyraźne określenie przeznaczenia utworu wyznacza jednocześnie arsenał środków wyrazu: w rezultacie napisany dla filmu scenariusz powinien być lepszy niż adaptacja filmowa choćby nawet własnego utworu literackiego, gdyż adaptacja jest zawsze tylko przekładem.

Wyrażony tu pogląd jest — świadczą o tem wypowiedzi na studium — podzielany przez filmowców. Co więcej, utrzymują oni, że pisarstwo filmowe — ściślej mówiąc: scenariopisarstwo — winno wejść do literatury jako autonomiczna i pełnowartościowa forma rodzajowa. Trudno uwolnić się od podejrzeń, iż teza ta jest tezą kokieteryjną, mającą na celu uszlachetnienie scenariopisarstwa w oczach literatów. Nie jest to chyba potrzebne, a teza sama nie wydaje się słuszną. Scenariusz nie jest gatunkiem literackim; można go — oczywiście — drukować, ale wątpić należy czy kiedykolwiek traktowany będzie jako utwór literacki, który ma inne przeznaczenie i odmienną formę ostatecznej realizacji. Żaden scenarzysta nie wszedł jeszcze do literatury dzięki publikowaniu swych scenariuszy. Przeciwnie, scenarzysta tak wysokiej klasy jak Schweitzer opublikował swą „Ostatnią szansę" nie w formie scenariusza lecz w powieściowej transkrypcji. Rozumiał dobrze, że te same treści inaczej mówi się czytelnikowi, a inaczej pokazuje widzowi.

———

Wracając do stawianych pisarzom propozycji — pierwsza z nich jest chyba zbyteczna. Wołanie o filmowo przydatne utwory literackie uzasadnia się jedynie dotychczasową praktyką — amerykańską przedewszystkiem — która wskazuje, że ogromna większość scenariuszy filmowych to przeróbki utworów literackich. Czy istotnie zachodzi potrzeba kanonizowania tego stanu rzeczy? Czy pracę scenarzysty należy spychać do rzędu działalności przetwórczych? Chyba nie. Odbudowująca się kinematografia polska, może pozwolić sobie na odstępstwo od merkantylnych praktyk zachodnich. Starając się o nawiązanie kontaktu z pisarzami Film Polski uczynił pierwszy krok na drodze wiodącej do właściwego postawienia problemu scenariopisarstwa. Byłoby jeszcze lepiej gdyby zagadnienie zostało postawione zupełnie jasno. Szukając scenarzystów wśród pisarzy, będzie mógł Film Polski oczekiwać od nich prawdopodobnie tylko specjalnej — ściśle na ten cel nastawionej — działalności, a nie tworzenia jakiegoś rodzaju „filmowej" literatury. Przede wszystkim zaś powinien przedsięwziąć kroki organizacyjne, zmierzające do popularyzacji techniki scenariopisarskiej.

Edward Szuster.

SEWERYN POLLAK

Nowe przekłady poezji rosyjskiej

DO STOSUNKOWO licznych ostatnio rossiców poetyckich możemy dorzucić dwie pozycje o bardzo nierównej wartości *) — ze wszech miar interesujący wybór liryk Puszkina i Tiutczewa w przekładzie Tadeusza Stępniewskiego i słaby stosunkowo zbiór przekładów bajek Kryłowa, tłumaczonych przez Stefanię Baczyńską. Dość obfity, bo przynoszący 15 utworów Puszkina w tym kilka fragmentów „Połtawy" i wstęp do „Rusłana i Ludmiły", i aż dwadzieścia wierszy Tiutczewa, zbiór Stępniewskiego został poprzedzony przedmową napisaną przez K. W. Zawodzińskiego. Tym razem wypowiedź jednego z nielicznych u nas świetnego znawcy poezji rosyjskiej, zwłaszcza okresu do Rewolucji Październikowej, jakim jest bezsprzecznie Zawodziński, dotyczy raczej samej osoby tłumacza i jest niejako „wprowadzeniem" do literatury sędziwego, bo urodzonego w 1873 roku „debiutanta". Tadeusz Stępniewski, lekarz z zawodu, tłumaczył wiersze rosyjskie ex commodo, w chwilach wolnych od zajęć zawodowych, kierując się w wyborze wyłącznie własnym zamiłowaniem. A zamiłowanie to musiało być wielkie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że przekłady powstawały powoli, w ciągu wielu lat, wielokrotnie odkładane do biurka i wielokrotnie znów wyciągane z szuflady dla wniesienia czasem nieoczekiwanie przychodzących do głowy poprawek. Nie odbiły się ani na ich doborze, ani też na ich stylu zmiany prądów estetycznych, czy też nastrojów politycznych, jakie zachodziły w tak długim okresie czasu. Dlatego też przekłady Stępniewskiego posiadają dla nas pewien lekki posmak staroświecczyzny, tak przyjemny w tłumaczeniach poetów dawnych, gdy jest niezafałszowany, a wychodzący tak często sztucznie, gdy jest wyłącznie stylizacją, zamierzonym chwytem literackim. Sposób przekładania wierszy przez Stępniewskiego odbiega wyraźnie od sposobów przyjętych dzisiaj i dlatego nie powinno się sądzić tych tłumaczeń naszymi dzisiejszymi, stosowanymi do sztuki przekładu kryteriami. Jako recenzent jestem w tym wypadku w wielkim kłopocie, gdyż pewne rzeczy, które obecnie musiałbym zganić u dzisiejszego tłumacza, w tym poszczególnym przypadku nie są przywarami — tak tłumaczono dawniej. Jeśli zaś za podstawę przyjmiemy kryteria obowiązujące mniej więcej przed „20-stoleciem", to uderzy nas w pracy Stępniewskiego zadziwiająca jak na owe czasy świeżość i nowoczesność stylu. A no, trudno, będę zoilem tego sezonu i spróbuję recenzować pracę Stępniewskiego, opierając się na dacie ukazania się jego książki.

Podstawową cechą w tłumaczeniach Stępniewskiego jest dążenie do dokładnego odwzorowania nie tylko metryki oryginału, ale i spadków rytmicznych — męskich i żeńskich zakończeń nie tylko przy końcu każdego wiersza, ale nawet przed średniówką. Poniekąd zrozumiała jest pierwsza z tych tendencji, choć nie troszczyli się o to bynajmniej tłumacze dawni, aż do Syrokomli włącznie, a i teraz jeszcze równe prawo obywatelstwa można by przypisać zarówno tłumaczeniom tzw. ekwimetrycznym, jak i heterometrycznym, o ile pewne układy metryczne tradycyjnie odpowiadają danemu, przyjętemu w języku, na który się tłumaczy, rodzajowi literackiemu. Jak to już kiedyś pisałem, z równym powodzeniem można pięciostopowy jamb, tak ulubione metrum poetów rosyjskich, zwłaszcza w rodzaju dramatycznym — tłumaczyć zarówno pięciostopowym jambem jak i jedenastozgłoskowcem sylabicznym. Natomiast ściśle przestrzeganie średniówek, zwłaszcza z mocnym spadkiem, a także i rymów męskich tworzy z przekładu rytmiczną siekaninę, a co gorsza zmusza tłumacza do zbędnej ekwilibrystyki słowno - pojęciowej. Tłumacz, narzucając sobie tego rodzaju rygory, jak średniówka z męskim zakończeniem, z konieczności musi poświęcić obraz, epitet, musi w najlepszym razie zastępować je innymi, rzekomo podobnymi, lecz noszącymi inne obciążenie semantyczne.

Dlatego też zręczne i czyste na pierwszy rzut oka strofy Puszkina po polsku w tłumaczeniu Stępniewskiego — po bliższym przyjrzeniu się, a zwłaszcza po porównaniu z oryginałem czasami sprawiają zawód, gdy rzuca się w oczy to, co Rosjanie nazywają „otsiebiatina" A te wstawki czy zmiany „od siebie", od tłumacza nie zawsze są obojętną watą. Już pierwszy wiersz, „Nereida", który dał mi bezpośredni asumpt do tych uwag, zawiera tego rodzaju zmiany. Pisze Puszkin: Wśród zielonych fal, całujących Taurydę, w porannej zorzy ujrzałem Nereidę". Stępniewski tłu

*) A. S. Puszkin, T. J. Tiutczew wybór liryk w przekładzie Tadeusza Stępniewskiego, przedmowa K. W. Zawodzińskiego. Wyd. Wł. Bąka, Łódź — Wrocław 1947.

1 A. Kryłow. Bajki. Tłumaczyła Stefania Baczyńska, ilustr. Lucjan Jagodziński. Wyd. S. Arcta, Warszawa 1948.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Pamiętnik „Barbary" Sowińskiej *)

BARDZO, nadspodziewanie dobra książka. I krzywdząco niedoceniona. Ukazała się parę dobrych miesięcy temu — i stanowczo za mało się o niej mówi, za mało ją popularyzuje wśród czytelników. A czekali i czekają na taką właśnie książkę.

Pracy Sowińskiej nie wyszło na dobre drukowanie w odcinkach (w „Głosie Ludu"). Całość poszarpana na drobne strzępki, na odcinki pisane bez zwykłej zręczności zawodowca, który każdy taki fragment komponuje z osobna, straciła wiele, wydawała się mało interesującą. Tymczasem w całości rzecz przedstawia się wręcz przeciwnie. To arcyciekawa książka. Sam czuję się winien, że dałem się uwieść pozorom. Dopiero teraz szukając odpowiednich książek do bibliotek masowych sięgnąłem po pamiętniki Sowińskiej. Opłaciło się stokrotnie. Nie wiele jest książek, które dostarczają tylu i tak rzetelnych wrażeń.

Autorka zastrzega się, że praca jej nie ma ambicji literackich. Nie jest ani powieścią, ani pamiętnikiem, opisuje bowiem częściowo szerszy krąg spraw niż te, które istotnie przeżywała pisząca. Myślę, że jest to jednak pamiętnik. Nie stanowi on wprawdzie egotycznej relacji izolowanej jednostki o jej osobistych przeżyciach, doświadczeniach, spotkaniach, opowiadanych z subiektywnego punktu widzenia. Jest za to relacją wybitnego członka ruchu społecznego, wrośniętego w swoją klasę, rozumującego kategoriami pozaosobistymi, patrzącego gdy trzeba oczyma niejako całej organizacji, do której należy. Pamiętnik Sowińskiej jest pięknym przykładem poszerzenia horyzontów, spojrzenia, odczuwania człowieka zorganizowanego, walczącego w gronie towarzyszy w stosunku do perspektywy tradycyjnego, indywidualnego pamiętnikarza. Oczywiście znikają w tej książce pewne utarte rysy dawnego pamiętnikarstwa, zjawiają się za to nowe, niemniej interesujące i jako dokument cenne.

Sowińska nie jest zawodowym pisarzem. Jako robotnica, przed wojną poznała się dobrze z bezrobociem. W okresie okupacji wyrosła na jednego z członków sztabu Gwardii Ludowej.

Książka jej jest artystycznie uboga — i to bardzo szkoda! — ale trzeba wyraźnie podkreślić w niej uniknięcie niemal całkowite złej, naiwnej pseudoliterackości. Jest sucha, dyskretna, zwięzła. Toteż sama strona formalna raczej pociąga czytelnika, pozwala mu śledzić bieg narracji, nigdy nie odpycha brakiem smaku, umiaru, nieporządną gospodarką słowem.

Pamiętnik opowiada o tych przede wszystkim wydarzeniach, w których uczestniczyła autorka, a które stanowią historię jej udziału w konspiracji PPR-owskiej i w wojskowej działalności GL i AL od r. 1942 do dni wyzwolenia.

Z kart książki przeziera taka „Barbara", jaką znałem w okupowanej Warszawie. Myślę również, że tak jak ci co ją znali wiedzą jak bardzo prawdziwa i ludzka jest jej książkowa postać, podobnie przeciętny czytelnik odczuwa to samo, nie znając narratorki, a tylko czując ludzką, rzetelną prawdziwość każdego opowiadanego faktu, przeżycia, wzruszenia. Pamiętnik jest pełen danych o życiu okupacyjnym, żołnierzach konspiracji, doli robotnika, atmosferze miasta, walce orężnej i walce politycznej.

Narracja Sowińskiej odznacza się bowiem jak pisałem szczerością myśli, wszechstronnością zainteresowań, bystrą obserwacją, umiejętną selekcją faktów. Nie ma tu dłużyzn, a jest jednocześnie ciągłość opowieści, umiejętność wielostronnego oświetlania spraw, trafnego sądzenia. „Barbarę" interesują zdarzenia i ludzie, charaktery i idee. Reaguje w sposób bliski — jak myślę — każdemu czytelnikowi, bo ważne w jej oczach jest nie to co przypadkowo, z osobistego punktu widzenia niespodzianie urasta, ale to co przeżywał okupowany kraj jako rzeczy doniosłe. W pamiętniku swych uczuć — rozpaczy i radości — jest ona właśnie w najwyższym stopniu wyrazicielką przeżyć zespołu, organizacji, całości społecznej.

Z pamiętnika Sowińskiej poznajemy plastycznie, na przykładach, w obrazach ludzi i zdarzeń formowanie się ideologii nowoczesnego polskiego ruchu robotniczego. Ideologii, której teoretyczny wykład zawiera niedawno przez mnie omówiona książka „W walce o demokrację ludową" Gomułki.

Jest to pierwszy u nas tak ambitny pamiętnik. Napisany na pewno z mniejszym talentem literackim, aniżeli choćby znana praca ukraińska Werszyhory, ale tak ciekawy, bystry, prawdziwy, bez frazesu i brązowania, iż należałoby życzyć naszemu pamiętnikarstwu, aby Sowińska nie poprzestała na tej jednej książce.

Samą zaś książkę należy spopularyzować we wszystkich bibliotekach nawet wśród najbardziej nienawykłych do czytania. Ta rzecz powinna ich pociągnąć.

Wartość informacyjna „Lat walki" jest duża. Autorka była dostatecznie wybitną działaczką, aby na kartach jej opowieści znalazł się choćby zewnętrzny ślad wszystkich ważniejszych wydarzeń postępowej konspiracji polskiej. A „Barbara" umie informować nie tylko o faktach, doskonale ewokuje także atmosferę tych niespokojnych, gorączkowych, namiętnych i patetycznych lat.

Nieprzeciętna jest również wartość wychowawcza tej książki. To co Sowińska ceni w człowieku jest istotnie treścią nowoczesnego ideału wychowawczego, rewolucyjnego i czynnie humanistycznego wzorca osobowego, który stworzył ruch robotniczy i jego bohaterowie. Autorka ocenia trafnie rolę wychowawczą więzi organizacyjnej wiodącej grupę społeczną do osiągnięć na drodze postępu. Jest w jej narracji prawdziwy kult wartości moralnych w służbie postępu społecznego. Jest piękny i przejmujący obraz nowoczesnego patriotyzmu robotniczego

Bardzo szczerze zachęcam wszystkich do przeczytania tej książki.

Stefan Żółkiewski

*) Stanisława Sowińska („Barbara"): Lata walki. Sp. Wyd. „Książka", W-wa 1948 r. Str. 390

maczy to — trzeba przyznać — efektownie, lecz wprowadza własne obrazowanie:

Wśród fal, co szumem swym kołyszą w sen
Taurydę,
W porannej zorzy mgle ujrzałem Nereidę.

Barwny, jaskrawy obraz Puszkina został tu otoczony senną mgłą — i to tylko dlatego, że tłumacz chciał zachować dokładny kształt wersyfikacyjny „aleksandrynu" rosyjskiego. Podobnie rzecz się ma z tłumaczeniem następnej zaraz „Elegii"

Na niebios rzedną **tle** obłoków lotne stada.
Posępna gwiazdo **ma**, wieczorna gwiazdo
blada!

Owe „wyrazki" — **tło, ma** — zostały wprowadzone przez tłumacza, nadając wierszowi właśnie cechy utworu tłumaczonego. Że można tego uniknąć, przykładem piękny, a przy tym prawie dosłowny przekład Ważyka:

Pierzcha lotnych obłoków gromada niesforna.
O, najsmutniejsza gwiazdo, o gwiazdo
wieczorna!

Niezbyt szczęśliwie udało się Stępniewskiemu spolszczenie zarówno wiersza „Do A. Kern", jak i prologu do „Rusłana i Ludmiły", ale też trzeba przyznać, że na tłumaczeniach obu tych utworów niejeden z poetów skruszył sobie zęby. Lecz zapewne przekład prologu do „Rusłana" powstał wcześniej, przed ostrzeżeniem Tuwima w słynnym jego „Czterowierszu na warsztacie", przed wężem, rymem do „wciąż", który oplatając dąb, czyha na tłumaczy. Dziwne jest przy tym, skąd w lesie przed chatą na kurzych nóżkach znalazł się sad. chyba wyłącznie jako rym do śladu niezwykłych — nie nieznanych — zwierząt.

Znajdziemy w tłumaczeniach Stępniewskiego spory słowniczek młodopolskich wyrażeń, bodaj w każdym wierszu są i ciemnie, i głusze, i wróże i oczu aksamity, których nie znał Puszkin.

Za to przekład fragmentów „Połtawy" odznacza się jędrnością i dosadnością, a „Lawina" zadziwia kunsztem wersyfikacyjnym.

Te wszystkie braki — oczywiście braki w naszym teraźniejszym pojęciu — które mogą nas razić w zastosowaniu do Puszkina — pomimo niewątpliwych *zalet, jakimi* odznaczają *się puszkinowskie* przekłady Stępniewskiego, przestają być brakami, gdyż przestają nas razić w tłumaczeniach wierszy Tiutczewa. Nie na darmo symboliści rosyjscy uważali Tiutczewa za ojca swojej poezji. To, co jest w nim z impresjonizmu, zbliża doń Stępniewskiego. Dlatego też nie tylko bez sprzeciwów lecz z pełnym poczuciem, że styl tłumacza zgodny jest w pełni ze stylem autora, że użycie „młodopolszczyzny" ma tu swoje pokrycie wewnętrzne, czytamy na przykład tego rodzaju strofę z wiersza „Poranek w górach", który Stępniewski — nie wiem dlaczego — nazwał „Po burzy":

I tylko wyżnie skał połowy
Otula tuman aż po szczyt:
Ni to powietrzny ni widmowy
Pałaców czarodziejskich zwid.

Że w oryginale oczywiście nie ma żadnego zwidu to obojętne—ale u Puszkina nie mogło by go być, u Tiutczewa mógłby, i na tym polega wyższość przekładów Stępniewskiego z Tiutczewa *nad* przekładami z Puszkina. Potwierdza to znów *tezę, że tłumacz* ma prawo podjąć swą pracę tylko *wtedy*, gdy umie doskonale wgryźć się w twórczość *poety*, więcej, gdy znajduje w sobie pewne z danym poetą powinowactwa, i to nie tylko formalne, stylistyczne *ale* ideowe, powinowactwa wynikające z ogólnej poetyckiej postawy. Stępniewski dotąd zapewne zachował swe zamiłowania z pierwszych lat dwudziestego wieku, i na tle owej epoki żywiej zapewne odczuwa impresyjny język Tiutczewa od konkretnego języka Puszkina. Właśnie przekłady z Tiutczewa zapewniają mu poczesne miejsce w nielicznym gronie prawdziwych tłumaczy-poetów.

O podobne miejsce, niestety, nie może się ubiegać Stefania Baczyńska, tłumaczka wyboru bajek Kryłowa. Przekłady jej nie wykraczają poza mierną poprawność. Pomimo pewnego pietyzmu dla oryginału i widocznych starań, aby zachować w tłumaczeniu swobodny zmienny tok jambiczny, jakim odznaczają się bajki Kryłowa, pomimo wreszcie starań o wierność słowną przekładu, bajki Baczyńskiej niewiele nam dają z Kryłowa poza samą treścią. Znikła cała finezja języka Kryłowa, zwięzłość, dowcip, dźwięk. Baczyńska nie tyle modernizuje język Kryłowa, ile go banalizuje, przekłady jej są szare, bezbarwne, pozbawione żaru i blasków oryginału. Na tym tle razi również obfitość gramatycznych rymów, których zresztą sam Kryłow nie unikał, lecz które w tekst rosyjski wtopione są mocniejszym i pewniejszym lutem poetyckim, niż stać na to tłumaczkę. Jednym z najlepszych bodaj jej przekładów jest „Kwartet", w innych utworach znajdziemy poszczególne zdania zręcznie przełożone — i to wszystko. Tłumaczka zdaje sobie jednak z tego sprawę, gdy z podziwu godną skromnością w końcu przystępnej, kulturalnie napisanej, przedmowy po właściwym scharakteryzowaniu twórczości Kryłowa na tle jego epoki pisze, iż jedynym jej pragnieniem jest zachęcić czytelnika do poznania bajek Kryłowa, a czytelników, którym nie wystarcza przekazanie treści, i nieuszkodzonej formy odsyła do oryginału.

Tę rolę „zapoznawczą" tomik Baczyńskiej na pewno może spełniać z powodzeniem, zwłaszcza wśród młodzieży. Dlatego też w sumie jest to wydawnictwo pożyteczne.

Seweryn Pollak

PRZEGLĄD PRASY

W ostatnim półroczu uważny czytelnik prasy literackiej mógł stwierdzić, że rzecz tak celowa i pożyteczna, jaką zawsze jest dyskusja, przestała być jedynie udziałem literatury.

Myślę nawet, iż dlatego tyle dyskutowano o literaturze, ponieważ pisarze pierwsi rozpoczęli działalność żywą i wielostronną.

Dziś można czasem spotkać gdzieś jeszcze rozważania na tematy literackie, naogół jednak dyskusje i polemiki obejmują większy zakres niż samą tylko literaturę.

Pierwsze szczęśliwsze posunięcie naszych filmowców („Ostatni Etap") pozwoliło pisarzom i publicystom na rozpoczęcie dyskusji o filmie. Nowe sztuki polskie dały okazję do wymiany zdań na tematy najróżnorodniejsze, zaczynając od dekoracji, kończąc na moralności. Jestem pewien, że krótki okres zacisza dobrze zrobi literaturze, która sobie odsapnie, natomiast zwrócenie uwagi na kino i teatr również dobrze wpłynie na te dwie dziedziny naszego życia artystycznego, o których dotąd, nie bez ich winy, mówiono półgębkiem lub bardzo oficjalnie.

Niejednokrotnie dawałem w mojej kronice sprawozdanie ze stanu prasy teatralnej. Od ostatniego mojego przeglądu prasy poświęconej zagadnieniom sceny, nie wiele się zmieniło w sensie ilościowym. Jak dawniej mamy trzy pisma — „Łódź Teatralną", teoretyczny i centralny „Teatr" oraz informacyjne, eklektyczne i interesujące „Listy z Teatru", wydawane w Krakowie, przez Wojciecha Natansona.

Leżą przede mną dwa ostatnie zeszyty tego pisma. Nr 20 przynosi materiał bardzo różnego kalibru, z którego treścią niezawsze można by się zgodzić. A więc przede wszystkim artykuły poświęcone twórczości K. H. Rostworowskiego, wydają mi się zbyt apologetyczne i jednostronne. Czachowski twierdzi, że był Rostworowski „poetą ogólnoludzkim, uniwersalnym", Wiesław Górecki uważa go za „wielkiego pisarza". Byłoby interesujące, gdyby „Listy z Teatru" zamieściły przy tych pracach jakąś próbę rewizji „uniwersalizmu" i „wielkości" autora „Judasza". Gdy biorę do ręki pismo o zacięciu eklektycznym, spodziewam się, że rzecz każda pokazana będzie wielostronnie. Inaczej podejrzewam pryncypializm, a wówczas zastanawiam się, dlaczego jest on po tej, a nie po innej stronie.

Wojciech Natanson kreśli pokrótce dzieje „Cyda", nawiązując do niedawnej premiery warszawskiej tego arcydzieła.

Zygmunt Leśnodorski w związku z wystawieniem „Dożywocia" w Krakowie, objaśnia czytelnikom cechy fredrowskiego humoru.

Kronika francuska, pióra Stefana Kadena podaje dość dokładnie treść ostatniej sztuki Jana Pawła Sartre'a „Umarli bez pogrzebu" (Mortes sans sepulture). Kaden wskazuje słabe strony sztuki wynikające, — jak twierdzi — z filozofii autora.

Nr 21 „Listów" jest poświęcony w znacznej części Lope de Vedze z racji wystawienia przez Teatr Krakowski „Owczego źródła". O autorze pisze Mieczysław Brahmer, o utworze — tłumacz „Owczego źródła" Ludwik Hieronim Morstin. Krótki poetycki traktacik Lope de Vegi o „Regułach dramatycznych" przełożył Wł. J. Dobrowolski. O teatrze Lope de Vegi na tle współczesnej mu historii Hiszpanii pisze Stefania Ciesielska-Borkowska.

Wreszcie o nowoczesnym teatrze hiszpańskim, zwłaszcza o teatrze Garci Lorki pisze W. N., przytaczając sporo dat, tytułów, nazwisk, co dla nas, mało obznajmionych z literaturą hiszpańską zawsze jest cenne.

Helena Wielowieyska, która w poprzednim numerze zamieściła fragment słuchowiska radiowego „Miłość", w nr. 21 recenzuje nową sztukę St. Otwinowskiego. Alfred Woycicki pisze o „Domu pod Oświęcimiem" Tadeusza Hołuja, przypominając dzieje ruchu oporu w Oświęcimiu i podkreślając wielorakie nurty polityczne tego ruchu.

O inscenizacji „Procesu" Kafki, pisze korespondent paryski pisma, Micheline Billet. Jak zwykle w obu numerach bogata kronika zagraniczna, która wydaje mi się główną racją istnienia tego pisma. Wyznam bowiem otwarcie, że nieco jednostronny ton artykułów o teatrze skłaniał mnie raczej do lektury rzeczy czysto informacyjnych. „Listy z Teatru", jeśli docierają do czytelnika, mogą spełnić ważne zadanie — mogą informować o literaturze teatralnej, o autonomicznych sprawach sceny, mogą wciągnąć przypadkowego i często nieświadomego widza w krąg zainteresowań teatralnych. Poto jednak, by tego widza z przypadkowego odbiorcy wzruszeń teatralnych przemienić w odbiorcę świadomego i krytycznego, na łamach „Listów z Teatru" powinna zapanować większa niezgoda. Szersze tło, bardziej związana z współczesną problematyką artystyczną, dyskusja nieograniczenie się do podejmowania tylko tych spraw, które nasuwają się w zestawieniu z premierami — oto jak sobie wyobrażam udoskonalone „Listy z Teatru", których pożytku, wobec coraz to rosnącego zainteresowania dla teatru, lekceważyć nie wolno.

ph.

KORESPONDENCJA

Oszczędność i porządek, a mieszczaństwo

W artykule J. Kotta pt. „Konfitury" (Kuźnica Nr 21) czytamy: „trzy kardynalne cnoty mieszczańskie: pracowitość, oszczędność i porządek".

W publicystyce ostatnich czasów utarło się pojęcie, że określenie „mieszczański" (bez komentarzy) ma zabarwienie lub wyraźnie znaczenie ujemne.

Nie wyobrażam sobie odbudowy czy budowy naszego życia bez pierwszej z tych cnót, a zorganizowania go bez trzeciej. Jeżeli idzie o drugą, to obawy autora graniczą z obsesją — oszczędność bowiem jest wynikiem podniesionej stopy życiowej — czego sobie wszyscy dla wszystkich ludzi pracy życzymy. Jak wygląda w świetle pogardy dla tej niby mieszczańskiej cnoty państwowa instytucja PKO? oficjalne zachęcanie do oszczędzania?

Jadwiga Loria, Warszawa

POSKROMIENIE ZŁOŚNICY

Lubelski Teatr Miejski, realizując postulat szerzenia kultury teatralnej wśród mas, dał w miastach powiatowych województwa lubelskiego ponad 20 przedstawień „Świętoszka", „Klubu kawalerów", „Szklanki wody" i „Inspektor przyszedł"; obecnie zaś wystawia „Poskromienie złośnicy" Szekspira na tle zabytkowego ratusza w Zamościu i na rynku w Kazimierzu.

Teatr Miejski w Lublinie pod dyrekcją M. Chmielarczyka-Cybulskiego wystawił „Poskromienie Złośnicy" W. Szekspira w reżyserii Zofii Modzelewskiej i oprawie scenicznej Jana Hawryłkiewicza. — Na zdjęciu: Z. Borkowski, T. Kuźmiński, A. Olechowski i A. Kuryłło.

Czeski pisarz o Polsce

Jeden z uczestników zeszłorocznej wycieczki pisarzy czeskich i słowackich do Polski, najpłodniejszy autor czeski A. C. Nor (ma on za sobą 36 pozycji książkowych, wydanych od 1925 roku) zebrał i opublikował swoje wrażenia z tej wycieczki w oddzielnej książce.

„Cesta do Polska" jest zbiorem reportaży i notatek, skrzętnie rejestrujących wszystko, co Nor, w tym wypadku bardziej dziennikarz niż literat, zdołał zaobserwować, czego się dowiedział i o czym posłyszał w czasie kilkutygodniowego pobytu w naszym kraju. W ostatnich rozdziałach autor zdążył dołączyć do wrażeń ze wspomnianej wycieczki pisarzy — relację z drugiego pobytu w Polsce, jesienią 1947 r., podczas zjazdu ZZPL we Wrocławiu. Zamykają książkę dwa artykuły autora, przełożone na język polski, opublikowane w czasie jego pobytu w polskiej prasie i w książce również podane w języku polskim.

Wrażenia pisarza czeskiego z Polski są dwojakiego rodzaju. Z jednej strony daje opis samego kraju, z drugiej obraz zetknięcia się pisarza z polskim życiem kulturalnym. Nie jest to obraz zbyt głęboki, uderza jednak serdecznym i przyjaznym tonem w stosunku do Polski oraz bogactwem szczegółów, faktów i nazwisk, które autor zdołał w ciągu krótkiego pobytu zebrać i zapamiętać. I tak np. w rozdziale poświęconym literaturze Nor wymienia niemalże wszystkich pisarzy, z którymi się zetknął, ograniczając się wprawdzie zazwyczaj wyłącznie do zabawnego niekiedy opisu ich zewnętrznego wyglądu, dając jednakże świadectwo umiejętności bystrej obserwacji i pamięci. Nor opisuje kolejno swe wrażenia ze zwiedzanych miast i okolic (Warszawa, Kraków, Łódź, Poznań, Wybrzeże, Śląsk), poszczególne rozdziały poświęca takim zagadnieniom jak teatr, film, sprawy wydawnicze, życie literackie, wrażenia z fabryk i zakładów pracy, wycieczka na teren b. obozu w Oświęcimiu itd.

Zastrzeżenia budzi rozdział poświęcony stosunkom politycznym, gdzie pewien brak selekcji i zhierarchizowania rzeczy zaobserwowanych wywołuje pomieszanie informacji rzeczowych z historyjkami niekiedy dość bałamutnymi. Ciekawostką dla polskiego czytelnika są uwagi poświęcone językowi polskiemu, które w pouczający sposób pokazują jak brzmi nasz język w uszach Czecha.

Powojenna wizyta w Polsce — stwierdza Nor — usunęła w nim wszystkie opory, jakie żywił on w stosunku do Polski. Należy przypuszczać, że książka jego napisana żywo i popularnie spełni wśród czeskich czytelników pożyteczne zadanie zbliżenia ich do współczesnej Polski.

m

Biuro informacji polskiej

Wiadomości o życiu kulturalnym w Polsce co raz częściej i liczniej docierają do Francji, wywołując żywe echa i poważne zainteresowanie. Dostarcza ich prasie francuskiej paryskie Biuro Informacji Polskiej, zwane popularnie BIP-em. Jego działalność nie ogranicza się jedynie do terytorium Francji. Obejmuje także Belgię, Szwajcarię i Włochy, a z krajów zamorskich Kanadę, Meksyk, Brazylię i Urugwaj.

Niezależnie od czysto informacyjnej obsługi prasy francuskiej za pośrednictwem agencji francuskich lub własnych biuletynów miesięcznych, BIP dostarcza francuskim pismom literackim i artystycznym bogatych materiałów, artykułów, prac literackich i przekładów prozy. W ostatnich miesiącach ukazały się we francuskiej prasie literackiej i artystycznej najrozmaitszych kierunków przekłady Iwaszkiewicza („Stara Cegielnia"), Putramenta („Święta kulo"), Parandowskiego („Godzina śródziemnomorska", „Spotkanie wśród gwiazd") Nałkowskiej („Medaliony"), Hołuja („Próba ognia"), Rudnickiego („Ginący Daniel", „Major Hubert") Borowskiego („Dzień na harmenzach"), Pruszyńskiego, Makuszyńskiego, Świrszczyńskiej, Uniłowskiego i innych.

Jednocześnie BIP dostarcza prasie licznych przekładów współczesnej poezji polskiej, przygotowując jej obszerną antologię.

Wykorzystując zainteresowanie polskimi sprawami kulturalnymi BIP wydaje polskie książki, przygotowując obecnie „Noc" Andrzejewskiego, „Miasto niepokonane" Brandysa, „Sidła" Kruczkowskiego, Kotta „Mitologię i realizm".

Dzięki działalności BIP-u francuska publiczność będzie mogła poznać polską twórczość dramatyczną. Ostatnio przełożono „Maskaradę" Iwaszkiewicza, „Wielkanoc" Otwinowskiego, „Rozdroże miłości" Zawiejskiego, „Obronę Ksantypy" Morstina. Liczne artykuły, bardzo chętnie drukowane przez prasę francuską, przedstawiają najwybitniejszych polskich artystów: Jaracza, Solskiego, Zelwerowicza i innych.

Specjalny wydział radiowy opracowuje dla francuskiej radiofonii polskie słuchowiska i prowadzi regularne audycje muzyczne i słowne, przeznaczone częściowo dla francuskiej Polonii.

BIP wydawał „Cahiers franco-polonais", zastąpione ostatnio przez miesięcznik Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej „Les Peuples Amis", co rok wydaje album ilustrowany o Polsce, ostatnio wydał broszurę o Polsce i jej wysiłku kulturalnym i ekonomicznym.

KULTURA PRZEDEWSZYSTKIEM

Ja nie jestem głupim chłystkiem,
Wiem — kultura przedewszystkiem.
Upowszechniać trza kulturę,
Sursum corda! Mordę w górę!

Jest Klub Książki. Jestem w Klubie.
Czasopisma? Owszem, lubię.
„Odrodzenie" tudzież „Moda".
Krój i „Przekrój". „Mucha"? Szkoda.
Czytam dużo, w myśl przepisów:
Dwuch Brandysów, „Trzech Budrysów",
Czterech wielkich wieszczów polskich
Oraz wszystkich Dobrowolskich.
Ja nie jestem głupim chłystkiem,
Wiem — kultura przedewszystkiem.

Bywam w kinie i w teatrze,
Jeśli nie śpię, to się patrzę.
Jestem z filmem obeznany,
Nawet znam „Stalowe Łany".
Dobry Polak nie przebiera, —
Inni wolą Réné Claire'a.
Upowszechniać trza kulturę,
Sursum corda! Forda w górę!

Na teatrze znam się lepiej,
Moje motto — „Teatr krzepi"
Schiller tudzież Axer Otto
Piją właśnie pod to motto.
Cenię każdą sztukę polską,
Zawieyskiego i Zapolską,
Znam Ważyka i Hołuja,
Inny nie zna, tylko buja.

Jestem taki, co to nie zje,
A poczytać chce poezje,
Coś o kwiatkach, coś o deszczu,
Ja nie jestem głupi mieszczuch,
Do Jastruna mówię „Wieszczu".

Ci, co są moralnie zdrowsi
Rozumieją — „Frontem do „Wsi".
Nędza wielu tam zapędza,
A więc jest Kubiniec-Nędza,
Nędza-Kubiak, Nędza-Kubisz,
Pyta żona: „Czy go lubisz?"
Ja nie jestem głupim chłystkiem,
Wiem — kultura przedewszystkiem.

Słucham radia, chociaż trzeszczy,
Gdy mi gra, dostaję dreszczy.
Średnie fale sobie chwalę,
Mam otwarty głośnik stale.
Trudno. Jestem radiosmakosz.
Nie ja jeden. Żona także.

Ludzi sztuki znam i cenię,
Kłamie ten, co mówi, że nie.
Gdy któregoś z nich zobaczę,
Wstyd się przyznać — zaraz płaczę.
Kiedy spotkam Minkiewicza,
Łzy spływają mi z oblicza.
Gdy przypadkiem ujrzę Króla,
Łkam, bo serce się rozczula.
W Filmie — Kański, w Radio — Pański.
Wiem: Borejsza zna hiszpański.
Dam Ładosza za Miłosza,
Za Przybosia nie dam Grosza,
Zresztą wolę Putramenta.
Inny też, lecz nie pamięta.

Obserwuję wszystkie święta,
Czytam pilnie transparenta,
Znam na pamięć każdy slogan,
Wiem, co pisze Wiech, co Pogan,
Znam Dygata z fotografii,
Tego inny nie potrafi.

Nie gram w karty, zbieram znaczki,
Pluję tylko do spluwaczki,
Pierwszy kłaniam się Zarubie
Chociaż pije. Ja — nie lubię.
Ja „Kuźnicę" raczej chwytam,
Nie rozumiem, ale czytam.

Tacy są, co sztuką gardzą,
A ja — owszem. A ja — bardzo.
Ja nie jestem głupim chłystkiem,
Wiem — kultura przedewszystkiem.

JAN BRZECHWA.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Maria Kędziorzyna: Baśnie polskie — Za siódmą górą, za siódmą rzeką. **Ilustr. Eugenia Różańska.** Nakład. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1948, str. 185, zł 400,—.

I. A. Frachtenberg: Reprodukcja kapitalistyczna a kryzysy ekonomiczne. (Biblioteka Ekonomiczna Nr 10). **Przekł. Stefanii Brun.** Nakład „Książka", Warszawa 1948, str. 140, zł 120,—.

Karol Marks: Walki klasowe we Francji, 1848—1850 (Biblioteka Klasyków Marksizmu), nakł. Sp. Wydawniczej „Książka", Warszawa 1948, str. 153, zł 120,—.

Paul Lafargue — Wilhelm Liebknecht: Wspomnienia o Marksie. Nakład. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1948, str. 72, zł 70,—.

Jerzy Plechanow: Przyczynek do zagadnienia rozwoju monistycznego pojmowania dziejów (Biblioteka Socjalizmu Naukowego). **Przekł. Romany Granas.** Nakład. Spółdz. Wydawn. „Książka" Warszawa 1948, str. 277, zł 250,—.

K. W. Ostrowitianow: Renta gruntowa a rozwój kapitalizmu w rolnictwie (Biblioteka Ekonomiczna Nr 9). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1948, str. 67, zł 60,—.

Teodora Feder: Małgorzata Fornalska, bohaterka narodu polskiego. Nakładem Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1948, str. 34, zł 50,—.

Zygmunt Weiss: Biegi krótkie (Popularna Biblioteczka Sportowa). Nakł. Wydawn. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1948, str. 85.

Informator Powszechny, zeszyt II — Wielka Brytania w cyfrach. Nakł. Wydawn. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1948, str. 32.

Ewa Szelburg Zarembina: Ziarno gorczyczne. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1947, str. 196.

Hanna Malewska: Kamienie wołać będą (Powieść z XIII wieku). Wyd. II. Nakł. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, Poznań 1948, str. 331.

Władysław Jan Grabski: Saga o Jarlu Broniszu. Wyd. II. Nakład. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej. Poznań 1947, część pierwsza — Zrekowiny w Uppsali, str. 397, część druga — Śladem Wikingów, str. 413, część trzecia — Rok tysiączny, str. 457.

Noty

Niedobrze z interesami

Amerykańskie biuro statystyk handlowych Dun & Brandstreet ogłasza, że liczba upadłości wzrosła w tym roku podwójnie w stosunku do analogicznego okresu w roku ubiegłym. Oto w pierwszych dwu miesiącach roku bieżącego, za które opracowano już dane, ogłosiło upadłość 1.100 firm, przy czym chodzi tu prawie wyłącznie o przedsiębiorstwa handlowe, powstałe dzięki wojnie, toczonej przez Stany Zjednoczone na Atlantyku i na Oceanie Spokojnym.

Według danych urzędowego Biura Statystycznego USA w pierwszych czterech miesiącach roku 1947 zbankrutowało łącznie 1.315 firm, podczas gdy ilość bankructw w pierwszych czterech miesiącach r. 1946 wyrażała się liczbą 421.

Horoskopy dozwolone.

sk

Jak się pisze historię?

Wiceadmirał Weichold, były dowódca floty niemieckiej na Morzu Śródziemnym, pracuje obecnie wraz z grupą oficerów dawnej „Kriegsmarine" w Londynie nad „przekładami, które mają służyć jako materiał dokumentarny do historii wojny". Cała grupa cieszy się w stolicy Anglii zupełną swobodą ruchów. Oficerowie, zatrudnieni przy tak wielkim dziele, otrzymali nawet pozwolenie

ściągnięcia do Anglii swych rodzin, a sam wiceadmirał Weichold został przez brytyjskie Ministerstwo Wojny zainstalowany w pierwszorzędnym hotelu na West End'zie, wytwornej dzielnicy Londynu.

Słowem: quomodo historia conscribenda sit? Starożytni niepotrzebnie się nad tym tak długo biedzili.

sk.

Interes i ojczyzna

W Stanach Zjednoczonych nakręcono film pod tytułem „State of Union" („Państwo Związkowe"). Występuje w nim Katarzyna Hepburn jako żona kandydata na stanowisko prezydenta USA. W jednej ze scen bohaterka otrzymuje od swego męża telegram, zawiadamiający ją o zwycięstwie wyborczym. Uszczęśliwiona pani prezydentowa czyta głośno treść telegramu oraz wymienia konkretne nazwisko zwycięskiego małżonka. Do tej chwili można by przypuszczać, że jest to zwy-

kła propaganda amerykańska, umiejętnie nastrojona na patriotyzm. Ale gdyby ktoś zadał sobie trud wielokrotnego obejrzenia tego filmu w różnych krajach USA, to stwierdziłby, że producenci nakręcili odnośną scenę dokładnie trzydzieści pięć razy, każąc bohaterce wymieniać za każdym razem inne nazwisko nowokreowanego prezydenta i podawać inną treść depeszy. Poszczególne wersje filmu rozesłano po kraju w ten sposób, aby nie zadrażnić najpopularniejszych w danym stanie kandydatów i ich gorących zwolenników.

Oto przykład nowożytnego uzgodnienia miłości ojczyzny z interesem.

sk

Między Superwilem i Rapperswilem

W Nr. 21 „Odrodzenia" zamieszczono artykuł p. Zbigniewa Bieńkowskiego pt. „W sprawie śmietnika". Dawny tłumacz Supervielle'a i obecny kustosz w Rapperswilu z nonszalancją godną lepszej sprawy zajmował się poradnictwem literackim w tym okresie, którego rozpiętość określa w skrócie tytuł noty.

Między Superwillem i Rapperswilem p. Bieńkowski wypisywał recepty na prozę według farmakopei amerykańskiej, zachwycał się „mięsem", „ciastem", „razowcem" względnie „miąższem" powieści zaoceanicznych, upajał się na łamach wielu pism, w tej liczbie „Kuźnicy", biologizmem i antyintelektualizmem nowej prozy amerykańskiej. To mu oczywiście wolno. Wolno mu również, w wyniku ostatecznym tych zachwytów, doradzać polskiej prozie, by wyszła na śmietnik, jak

to demagogicznie i nonszalancko czyni we wspomnianym artykule, pełen podziwu dla p. Jana Dobraczyńskiego, który „brudny i ubabrany pora się z surowcem spraw żywych". Niechże jednak będzie również wolno powiedzieć, że demagogia p. Bieńkowskiego dziwnie przypomina wypowiedzi z łamów dodatku literackiego do „Gazety Polskiej", gdzie przed wojną sławiono „miąższ", „razowiec", „surowiec" i cały ten ogromny śmietnik autora niefortunnego artykułu, wystawiającego sobie na odcinku między Superwilem i Rapperswilem należyte świadectwo intelektualne w fatalistycznym zakończeniu swojej pochwały śmieciarstwa: „A zresztą wszystko i tak się jakoś samo ułoży".

lk

Wydźwięk w stawie

Kreśląc sylwetkę Pawła Jasienicy z okazji przyznania mu nagrody im. Wł. Pietrzaka, Jan Dobraczyński zamieszcza wzmiankę pro domo sua, że „pewien redaktor pewnego co tydzień w zwiększonej ilości bitego pisma" zarzuca mu niechlujny styl, nieco zaś niżej pisze:

„Ogniste poezje Jasienicy i chyba nierozładowany „kompleks wojowania" uczyniły go jednym z najbardziej czytywanych przez zespół „Kuźnicy" publicystów. Jest coś wzruszającego w tej sile przekonywania jaka się znajduje zawsze w najdrobniejszej notatce podpisanej krótkim „jas". **Wywołuje ona w łódzkim stawie dogłębny wydźwięk i ku radości spółdzielni „Książka". przyczynia się walnie do jego żywotności".**

Zapewniamy Dobraczyńskiego, że żywotność dogłębnego wydźwięku wywołanego wzruszającą polszczyzną zacytowanego wyżej zdania nie jest mniejsza

W Spółdzielni „Książka" — radość nie do opisania. Jakże nie cieszyć się z wydźwięku? A jeszcze dogłębnego i w stawie!

rkm

Catch as catch can

Wiele jest w burżuazyjnej ekonomii politycznej zwalczających się kierunków. Wszystkie jednoczą się jednak w walce z marksizmem ukazując przy okazji swoje nienaukowe oblicze. Próbkę takiej „nauki" wykładanej na Uniwersytecie Łódzkim cytuję według skryptu prof. Fabirkiewicza, Wyd. IV, str. 152:

„Widoczne to stało się w szczególności u drugiego obok Clarka wybitnego przedstawiciela szkoły psychologicznej, a mianowicie u Fettera, który w swoich późniejszych pracach **uznaje już, że historyczną zasługą teorii krańcowej użyteczności jest przezwyciężenie marksistowskiej teorii wartości opartej na pracy..."**

a na str. 167:

„Operowanie pojęciem krańcowej użyteczności jest niecelowe i prowadzi niejednokrotnie do konstrukcji logicznych teoretycznie błędnych". (podk. moje).

az

Obrońca romantyzmu

Wzbogaciło się polskie życie kulturalne. Jan Sowa w numerze 138 „Słowa Powszechnego" wystąpił w obronie romantyzmu. Między innymi broni postawy romantycznej w sposób następujący:

„Kiedy Kolumb jechał szukać nowej ziemi, był taki moment, gdy prawie wszyscy na statku zwątpili w celowość jego przedsięwzięcia. Doświadczeni i trzeźwi radzili mu wracać. Gdyby ich posłuchał, Europa nie otrzymałaby nigdy... pożyczki amerykańskiej".

Ba, co by było, gdyby... Gdyby nie było Ameryki, Krzysztof Kolumb byłby dopłynął do Indii i wtedy Europa nie otrzymałaby pożyczki amerykańskiej. Gdyby nie było pożyczki amerykańskiej, Jan Sowa nie miałby swego argumentu za romantyzmem, a romantyzm nie miałby swego obrońcy w osobie Jana Sowy. I wtedy wszystko byłoby w porządku.

sk

W sprawie Adolfa Dymszy

Jeden z najwybitniejszych artystów polskich, Adolf Dymsza, został całkowicie i definitywnie oczyszczony z niesłusznych zarzutów rozgłaszanych w nieznanej nam bliżej intencji. Oczyszczenie imienia nie naprawia jeszcze wielkiej krzywdy, jaką wyrządzono artyście. W chaotycznej gospodarce talentami która tłumaczy się pierwszym przejściowym okresem życia kulturalnego w odrodzonym kraju, los Adolfa Dymszy wydaje nam się szczególnie bolesnym przykładem marnotrawienia najlepszych wartości, jakie może posiadać artysta sceniczny. Ceniąc niezmiernie wielki ludowy artyzm Adolfa Dymszy, chcielibyśmy go widzieć nareszcie na wielkiej scenie, jako odtwórcę humoru Szekspira i Moliera, Gogola i Fredry, — i jesteśmy przekonani, że wyrażamy tym opinię wszystkich miłośników wielkiego repertuaru.

Kazimierz Brandys
Jan Brzechwa
Stanisław Dygat
Paweł Hertz
Adam Ważyk
Juliusz Żuławski.

TREŚĆ NR 22:

Mieczysław Jastrun — **Legion;** Bolesław Dudziński — **Roma Locuta;** Jurij Tynianow — **O ewolucji literackiej;** Paweł Hertz — **Wiersze;** Stanisław Dygat — **Opowiadania;** Mieczysław Bibrowski — **O Teodorze Duraczu;** Jakub Litwin — **O „Wspomnieniach" Ludwika Krzywickiego;** Jerzy Kreczmar — **Z teatrów warszawskich;** Stanisław Ehrlich — **Książka o Nietschem;** G. K. — **Echa paryskiego Kongresu Historyków; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
D—026135 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.